KÓŁKO DOMOWE

PISMO

POŚWIĘCONE POLSKIM RODZINOM.



ROK CZWARTY.

MIESIĄC KWIECIEŃ.

Poszyt 1.

WARSZAWA.

W DRUKARNI J. UNGRA PRZY ULICY KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nro 391

1864.

KÓŁKO DOMOWE

PISMO

POŚWIĘCONE POLSKIM RODZINOM

WYDAWANE

PRZEZ

JÓZEFĘ ŚMIGIELSKĄ i A. z Ch. BORKOWSKĄ.



ROK CZWARTY.
1864.

POSZYTÓW DZIEWIĘĆ.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA.

1864.

WOLNO DRUKOWAĆ.

W Warszawie, dnia $^{18}/_{30}$ Listopada 1864.

Cenzor J. Błeszczyński.





KÓŁKO DOMOWE

Kwiecień 1864


BIBLIOTH. UNIV.
JAGELLONICAE



WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Przy ujściu rzeki Drwęcy do Wisły rozsiadły się poważnie baszty Złotoryjskiego zamku, odbudowanego i opasanego wałem przez Kazimierza Wielkiego w roku 1343, przy odzyskaniu ziemi Dobrzyńskiéj. Cisza w około, bo noc już zapadła i zamknięta brama, ale na baszcie połyska światełko, a w komnatach gwarno i huczno, bo starosta Krystyn ze Skrzypowa siedzi przy dębowym stole i raczy się z braćmi. Ogromny dzban z winem stoi przed niemi, piją jeden do drugiego wesoło i radzą o wojennych sprawach, to znów całują się i ściskają, że aż miło spojrzeć na tę miłość rodzinną. Starosta zagląda do dzbana i widzi że się wypróżniać poczyna, więc zmarszczył brwi i wyrzekł:

— Źle się dzieje mili bracia, niedługo wina zabraknie, a tego łotra Hanki dotąd nié ma. Może stróż zasnął u bramy i Hanko nie może dostać się do zamku..... tak zagadałem się z wami, że zapomniałem sprawdzić czy stoją ludzie na czatach, a dziś trzeba się mieć na baczeniu, bo ni ztąd ni z owąd wieść gruchnęła, jakoby Władysław Biały miał napaść na Złotorję.

— Tak prawią ludzie, odparł starszy brat Grzegórz znaczącym głosem.

— Fraszki, niechaj przyjdzie, ja go się nie boję, a jak go raz odprawiłem tak i teraz odprawię. Czy wierzycie, że na wieść o Władysławie taki strach ogarnął naszego starostę wielkopolskiego Sędziwoja, że chciał kogo innego przełożyć nad Złotorją, mówiąc: Krystyn stary, a białychgłów przy nim dużo, gotów z obawy o żonę i córy poddać wrogowi zamek.

— Sędziwój chyba jeno zażartował, rzekł Jaśko.

— Nie lubię wcale takich żartów. Ho, ho! Krystyn stary ale jeszcze jary, miły bratanku! nie da sobie takiego wyrządzić sromu i póki żyw nie odda Złotorji, odpowiedziałem panu staroście. Prawda, że na zamku białychgłów jest dużo, boć i Anna córka pana na Ujściu mieszka z nami, ale skoro przyjdzie do sprawy, znajdę sposób żeby niesłyszeć niewieścich lamentów. Wisłą wyślę żonę i dziewki do Torunia, zamówiłem na każdy wypadek rybaków, choć Bogiem a prawdą, nié ma się czego lękać, zamek jest mocny i lepiéj obwarowany niż krakowski, a załoga wyborna, chłop w chłopa jak dąb rosły i zdrowy. Niech jeno pokaże mi się ten mnich obrzydły a zechce traktować, powiem bez ogródki, jak jestem Krystyn ze Skrzypowa: wara od zamku! idźcie gdzie indziéj

próbować szczęścia, bo zemną nic nie wskóracie.

— Sprawiedliwie mówicie, rzekł Grzegórz.

— Ho, ho, pokażę temu mnichowi i Sędziwojowi i wszystkim co to jest mieć sprawę z Krystynem. Ale cicho!... słyszycie stukanie do bramy, pewnie Hanko się dobija. Dobrze, przybywa w porę, bo już ostatnia beczka wina wytoczona, a na sucho pogadanka się nie składa; ba! bez wina ani do dzieła ani do krotochwili nié ma serca! Wyrzekłszy to Krystyn wyszedł z komnaty i spotkał na schodach rybaków niosących beczkę z winem.

— Czekałem na was długo hultaje, ale cieszę się że nie z próżnemi wracacie rękami; wnieście beczkę na górę, zaraz tam przyjdę. Poszedł potem starosta ku bronie, aby się przekonać, czy straż stoi na swojém miejscu, ale z wielkim podziwem nie mógł dojrzeć nikogo.

— Hola! co to się znaczy łotry, że żadnego z was tutaj nié ma?

Na grzmiące wezwanie pana zbiegli się załogowi ludzie, a na zapytanie odpowiedzieli, że zaraz po wpuszczeniu rybaków stróż zamknął bronę i poszedł z kluczami na wieżę. Odpowiedź ta zaspokoiła Krystyna, powiemy jednak nawiasem, że istotnym powodem nieobecności stróża była ta okoliczność, że rybacy oddali mu beczkę z winem, przeznaczoném na traktament dla załogi; kiedy niespodziewanie nadszedł pan, starosta, już jego ludzie dobrali się do wina, w celu sprawienia obfitéj libacji na cześć bożka pijaństwa. Wróciwszy do komnaty, w któréj zostawił braci, znalazł tam starosta rybaków, stojących przy beczce i oczekujących na jego rozkazy; skoro zapytał się gdzie jest Hanko, odpowiedzieli że zaniemógł w drodze i pozostawili go w Toruniu, śpiesząc się z powrotem do Złotorji. Starosta niepytał więcéj, pochwalił ich sprawność i kazał się oddalić, a zawoławszy pachołka polecił mu odszpontować beczkę, poczem sam nalał z niéj pełny dzban wina.

Pili znów bracia wesoło, a Krystyn coraz rzeźwiejszym i wymowniejszym się stawał, ba możnaby zapytać o czém on nieprawił, kiedy w jednéj chwili wszystkie stare przypomniały mu się dzieje. Zaczął najprzód opowiadać o świętym Stanisławie, jako wskrzesił Piotrowina z martwych jednem słowem: wstań Piotrowinie! to znów o Henryku Sandomierskim, co z królem saraceńskim potykał się w Palestynie, daléj o Mieczysławie starym, o Konradzie Mazowieckim co na zgubę kraju sprowadził zamorskich smoków do własnego gniazda, a o tem wszystkiem prawił jak z książki z różnemi przypowiastkami, nie przepomniał nawet o Kazimierzu księciu Szczecińskim, któremu dał król Ludwik w hołdownictwo ziemię Dobrzyńską z zamkiem Dobrzyniem i Gniewkowem, a który tak był hojny, że często cierpiał niedostatek i bez wieczerzy kładł się do łóżka. Najoględniéj mówił o królu Loisie, a śmiał się z Nałęczów, których tak chytrze król umiał zużyć na koszyckim zjeździe. Kiedy z kolei jął opowiadać o Władysławie Białym, pytał braci:

— Wiecie wy za czyją sprawą ten mnich uciekł z dižońskiego klasztoru?

— Niewiemy, ale radzibyśmy dowiedzieć się od was.

— Więc słuchajcie, nikt inny, jeno sam djabeł mu to naraił.

— A to jakim sposobem? okrzyknęli się obadwaj bracia.

Starosta wychylił pełną czaszę, potem tak rzecz swą kończył:

— Było to w sam wielki piątek, mnich zamknięty w celi klęczał i smagał się srodze, aliści słyszy głos jakiś niewymownie słodki, który tak do niego prawi: Władysławie, za co tak smagasz twoje nędzne ciało? Mnich bije się mocniéj i woła: nie wodź nas na pokuszenie, ale głos to samo powtarza pytanie; on ćwiczy się ciągle i odpowiada: za grzechy. Głos tym razem ucichł, ale w następny piątek woła na niego: przestań dręczyć twe ciało, a przypatrz się temu co ci pokażę; wszystko co ujrzysz, jest w moich rękach i może stać się twoją własnością, jeno musisz mi być posłusznym i zrobić co każę. Długo mnich się wzdragał i nie chciał spojrzeć w ową stronę jako mu zły duch radził, aż nareszcie odwrócił się pewnego razu i oczy jego w niezwykłém skąpały się świetle, a wydało mu się jakoby stał na wysokiéj górze, a z téj

góry widział obszerne ziemie, warowne zamki i ogromne morza, więc z lubością patrzył dopóki nie znikło widzenie, aliści wkrótce potem odebrał wieść o śmierci Kazimierza króla i posły z listami od niektórych panów. Wiecie już, jako zaraz porzucił klasztor i dziwne wyprawiał swawole na naszéj ziemi, z początku dobrze snać z djabłem trzymał się za ręce, bo wszystko szło mu jak z płatka; zdobywał jedne po drugich zamki i grody, a niektóre dobrowolnie mu się poddały. Ale taka niespokojna u niego dusza, że nikomu długo przymierza dochowywać nie może i djabłu pewnie w czemś skrewił, bo i ten porzucił go wkrótce, wraz z nim odstąpili go wszyscy, którzy najmocniéj popierali jego sprawę.

Po ukończeniu swojéj powieści, zajrzał do dzbana starosta, a widząc że jest próżny, skinął na pachołka, ażeby przysunął beczkę. Odchrząknął parę razy, pogładził ręką czuprynę, nalał braciom i sobie, poczem wychylili wszyscy po pełnéj czarze, a widać było niezwykłe zadowolenie na ich twarzach. Policzki starosty rumiane zazwyczaj, przybrały teraz ciemno czerwoną barwę, a oczy jego pełne były gorącego animuszu, więc podniósł rękę, uderzył silnie o stół i wyzywającym zawołał głosem:

— Pokaż mi się jeno ptaszku, nie będziesz u mnie mieć żeru, bo jak jestem Krystyn ze Skrzypowa, obetnę skrzydła, co cię noszą po świecie. Sprawa ze mną, to nie z Remlikiem dawnym Złotoryjskim starostą, którego pojmawszy w drodze, przygnałeś na powrozie do zamku i pogroziłeś że zabijesz jeżeli załoga ci się nie podda; najprzód, nie złapiesz mię tak łacno, a powtóre chociażbyś mię pochwycił w swoje pazury i choćbym dwa razy miał wyzionąć duszę, to i wtedy jednego kamyka twierdzy bym ci nie oddał.

Znów wychylił Krystyn ogromną czaszę, a Grzegórz i Jaśko poszli za jego przykładem; ci ostatni dobrze już byli rozmarzeni trunkiem, bo podczas opowiadania brata kiwali się na ławie, a Jaśko uśmiechał się ciągle, mrucząc od czasu do czasu pod nosem. Krystyn choć najstarszy z nich wiekiem, snać najtwardszą miał głowę i nie lada jaka miara mogła go z nóg zwalić, ale po wychyleniu ostatniéj czaszy zaczął do snu kleić oczy; spojrzał jednak na braci a spostrzegłszy że Jaśko już drzemie, pochwycił go za rękę i trzęsąc nią silnie zawołał: Hola! miły bracie, zawczasu do snu się zabierasz, kolej na ciebie nadchodzi, a czy chcesz czy nie chcesz musisz dotrzymać nam placu, póki nie wypróżniemy beczki. Na tak energiczne wezwanie, roztworzył Jaśko zamglone oczy i zabełkotał coś niewyraźnie, a kiedy starosta podał mu czaszę z winem do ręki, wziął ją machinalnie, przyłożył do ust i wychylił, gdyby jednak obok stojący pachołek niepochwycił go w téj chwili, runąłby był niezawodnie na podłogę. Krystyn nie bacząc na wypadek brata odwrócił się do Grzegorza, który dawał jeszcze oznaki życia, ciągnął potem daléj jakąś bezładną rozmowę, z któréj jedna przekonać się było łacno, iż jakkolwiek wmawiał w siebie i w innych, że wieść o blizkim napadzie Władysława Białego nie budzi w nim postrachu, dusza jego nie była wcale spokojną, bo najczęściéj wspominał imię księcia i przeplatał mowę wykrzykami gniewu i pogróżek. Skoro rozmarzony Grzegórz przebąknął coś o Kazimierzu księciu Szczecińskim, który teraz był władcą na Dobrzyniu i Gniewkowie, Krystyn niezrozumiawszy czy też niedosłyszawszy słów brata, zawołał: niechaj przyjdzie, niechaj przyjdzie, zobaczemy, zobaczemy..... Z końcem ostatniego wyrazu przechylił się podobnie jak Jaśko i także przez czujnego pachołka uratowany od potłuczenia został, lecz niewzględny na pieczołowitość sługi, poczęstował go za to potężnym w bok kułakiem. Grzegórz tymczasem położył głowę na stole i już chrapać zaczynał. Krystyn widocznie walczył ze skutkami wina, bo powstał z ławy, a opierając się raz o stół raz o ścianę, przechadzał się, a raczéj niezgrabnie powłóczył nogami wykrzykując niezrozumiałe wyrazy. W końcu zatrzymał się około pieca, usiadł na trójnogim stołeczku, mruczał jeszcze przez czas pewien po cichu, poczem nagle zamilkł, a kiwnąwszy głową parę razy, jak snop ogromny zwalił się na ziemię.

IX.

Kiedy tak starosta raczył się z braćmi swemi w głębi zamczyska, w bogato przybra-

néj izbie siedziały trzy białogłowy; sędziwa matrona i dwie hoże dziewki, z których jedna była córką Krystyna, a druga synowicą jego; obie były piękne ale rysy Anny z Ujścia więcéj uderzały namiętnym wyrazem wielkich czarnych oczów. Córka starosty niepodobną była do krewnéj, gdy Anna czarne jak heban miała włosy, złote warkocze zdobiły skroń Kingi, wyraz twarzy pierwszéj był odbiciem bujnéj gry życia, silnéj uczuciem, a na licu drugiéj malowała się raczéj słodycz i jakaś rzewna tęschnota. Kinga młodsza, bo zaledwie szesnastoletnia, ubrana była skromnie, bez żadnych ozdób, dziewiętnasto letnia zaś Anna miała na szyi trzy sznury pereł, głowy dziewcząt zakrywały rańtuchy śnieżnéj białości spadające na ramiona. Wyszywały obie jakąś robotę kościelną, a pani starościna układała w skrzyni, przeznaczone do apteczki suche zioła na lekarstwo dla chorych, którzy często udawali się do niéj z prośbą o radę i pomoc. Ukończywszy swą pracę, wstała aby obejrzeć robotę dziewcząt.

— Bóg wam nagrodzi podjęte trudy na chwałę Jego i świętego kościoła, rzekła z westchnieniem, a jeżeli kiedy, to dziś zwłaszcza każdy powinien nieść wedle możności ofiarę, na przebłaganie gniewu Pańskiego i uproszenie, ażeby odwrócił od nas bezbożności i gwałty które tak dręczą tę biedną ziemię. Złe, bardzo złe czasy nastały, ciągnęła daléj, owi bezbożnicy nie szanują niczego, gwałcą świątynie Pańskie, jak poganie litwini albo tatarzy, najeżdżają i grabią dobra duchowne, jeszcze czego uchowaj Boże, ściągną niemieckich mnichów z pruskiego kraju, którzy za moich lat młodych zwalili się na nas jak istna pomsta Boża za grzechy, a był płacz wielki i jęk srogi na całéj téj ziemi; ile niewinnéj krwi przelelí, nikt tego, chyba sam Pan na dniu sądnym policzy i za to im odpłaci. Byłam wtedy bardzo młoda, matka już nieżyła, a rodzic przemyśliwał długo, gdzieby bezpieczne dla mnie znaleźć schronienie i oddał mię w końcu do klasztoru. Było to właśnie przed ową płowiecką bitwą, w któréj nasz stary król Władysław sam sprawił hufce i powiódł je do boju, a dzielny był król, tak dopomóż mi Boże, dzielny, choć małego wzrostu, a głowę jak gołąbek miał białą; ale zaczynam wam prawić o płowieckiéj bitwie, a nie skończyłam jeszcze o klasztorze....

— Mówcie nam jeszcze o bitwie, przerwała z ognistém wejrzeniem Anna, wy tak rozpowiadacie pięknie, jabym was całą noc słuchała.

— Dobrze, dobrze moje dziecię, jeno skończę wpierw o klasztorze. Owóż jak rodzic zostawił mię w świętém schronieniu, a sam pojechał na wojaczkę, bezecne mnichy, których sprawiedliwie nasz lud smokami zowie, nie dość że popalili zamki i włości, musieli jeszcze do bezbronnego wedrzéć się klasztoru. Istny był dzień sądny dla zakonnic nieborząt ek, skoro spostrzegły że biała szarańcza ciągnie już ku bronie. Strach było spojrzeć na mnichów, wszyscy w długich białych płaszczach, jak upiory, którym czart powyszywał krzyże czarne na plecach, na zakałę Chrystusowego imienia. Odbili wkrótce bronę i zajęli gmach cały, a jakie działali bezprawia i krzywdy, wypowiedzieć trudno! Co najmłodsze i najpiękniejsze dziewki uwieźli wraz ze zrabowanym w kościele łupem, ja jedna cudem ocalałam, skoro bowiem rozeszła się wieść w klasztorze, że hufiec najezdników ciągnie już sznurem, pobiegłam do kościoła, a bijąc czołem o ziemię i zalewając się łzami, wzywałam pomocy świętéj Jadwigi mojéj patronki wołając, o święta pani, jako Ty odżegnałaś się modlitwą od srogiéj mocy czartowskiéj, tak mię ratuj w méj nędznéj doli, niechaj wróg Boga i człowieka, nie pastwi się nademną! Zaledwie wymówiłam te słowa, ujrzałam przed sobą twarz dziwnie piękną, która się wychyliła z za ołtarza i uśmiechała do mnie, toć nie kto inny, jeno moja święta orędowniczka zawołałam i pobiegłam za ołtarz aby ukryć się w wyżłobieniu, które było w ścianie; przesiedziałam tam dzień cały dopóki nieprzeminęło niebezpieczeństwo.

— Droga matko! zawołała z przerażeniem Kinga, toć może i nam to samo zagraża, od tego mnicha rycerza, którego Białym księciem zowią.

Na wzmiankę o Władysławie Białym zarumieniła się Anna i utkwiła oczy w robocie którą miała w ręku.

— Zapewne, moje miłe dziecię, odrzekła matka, że nic on nam dobrego nie wróży, a nie daj Boże, jak znajdzie poparcie u przyjaciół, znów długo wichrzyć będzie w tym kraju. Najwięcéj obawiam się go teraz, bo prawią ludzie że umówił się z niemcami, wtedy ciężka będzie z nim sprawa. Źleby było moje dzieci, gdyby się wróciły srogie przed płowiecką bitwą czasy, bo nie mamy króla, któryby nas bronił, nie mamy już i niewiem aza i będziemy mieć kiedy tak wielkiego Łokietka! Wymawiając ostatnie wyrazy, spuściła głowę na piersi sędziwa matrona, zadumała się na chwilę. poczem podniosła znów oczy w górę, twarz jéj dziwnie miłém opromieniła się światłem, oczy zaś świeciły łzami i jakby w proroczém zawołała natchnieniu: „Nie, nie, moje dzieci, nie wyda nas Pan na pożarcie nikczemnéj tłuszczy, dopóki czcić będziemy w poczciwości święte jego Imię, wprawdzie od śmierci dobrego Kazimierza króla, dotyka nas i karze sprawiedliwe ramię Boga, ale on Pan miłosierny, jako ojciec zlituje się dziećmi.“ Poczem, wyciągając ręce nad głowami dziewek, dodała: pójdźcie i uklęknijcie przed wizerunkiem Ukrzyżowanego; jako surowy sędzia, upokorzy on podłych łupiezców, jest mądrością, więc oświeci naród i jego władców, jest miłościwy, więc wysłucha głosu modlitwy. Kiedy żona Krystyna udała się wraz z dziewkami do przyległéj izby, gdzie zazwyczaj, wieczorne odmawiały pacierze, podniósł się gwar w murach zamczyska i odbił o uszy klęczących niewiast. Pierwsza Kinga zerwała się nagle, pochwyciła Annę za rękę i zawołała: Siostro miła, czy słyszysz tę wrzawę, powiedz co to znaczy?

Anna miasto odpowiedzi poskoczyła do okna.

— Boże! mnóstwo świateł w podwórzu, wielu rycerzy na koniach i w zbroi, gwar niby tysiąca głosów..... Szczęk mieczów i okrzyk: zdrada!



Zdrada! — powtórzyła żoua Krystyna — zginęliśmy! i padła załamując ręce.

— Zdrada! — powtórzyła żona Krystyna — zginęliśmy! i padła znów na kolana, załamując ręce.

— Zdrada, najazd, lecz któż jest ten rycerz, co im przewodzi? ach! to on.... Biały książe.... zawołała ze zgrozą Anna i upadła zemdlona.

X.

Niemylił wzrok Annę, do zamku bowiem wpadł książe Władysław z przyjaciołmi, sługami i gromadą rozbójników pod dowództwem Jurka. Rybacy upoiwszy starostę i ludzi stojących na straży ułatwili mu wejście, bez żadnego oporu zajął całą

twierdzę, poczem kazał pobrać śpiącym wszystkie miecze i kopje, a pozbawiwszy ich środków obrony, zmusił do bezwarunkowego poddania, nie wielu zaś z nich, którzy stawili opór, powiązał i zamknął w lochu. Zdobywszy z taką łatwością zamek, pobiegł natychmiast do izby, w któréj uraczony starosta, spoczywał pogrążony w śnie głębokim wraz z braćmi. Przekonawszy się że opilcy nie okazują znaku życia, zostawił ich pod dozorem sześciu tęgich łotrów z gromady Jurka, sam zaś wrócił na dziedziniec zamkowy, porozstawiał na wałach czaty, kazał pozamykać wejścia, a następnie zawołał na Hankę z Brześcia, który natychmiast stanął przed nim z obliczem wielce zakłopotaném.

— Hanko! masz spełnić ważne polecenie, jeno pamiętaj że wykroczenie przeciw moim rozkazom srogą ukarzę śmiercią.

— Wszystko wykonam święcie miłościwy książe, a nawet zięcia mojego oddaję na wasze usługi, odrzekł pokornie młynarz, wskazując na pachołka, który stał w odległości kilkunastu kroków.

— Dobrze, ocenię i wynagrodzę twoje usługi; tymczasem idź natychmiast do niewieściéj komnaty, gdzie znajduje się Anna córa pana na Ujściu, potém zaprowadźcie ją do oddzielnéj izby, taka jest moja wola. Hanko skłonił się nizko, skinął na zięcia i poszli razem do wskazanego miejsca.

Gdy się to działo na podwórzu zamkowém, starościna i jéj córka przywróciły do przytomności Annę, która jakby ocknąwszy się ze snu przykrego, powiodła na około niespokojném okiem i zawołała: Boże! czy to we śnie jeno było, czy na jawie? jeżeli sen miałam tak okropny, dzięki wam za to że zbudziłyście mię i wyrwały z jego mocy, atoli, jeśli to co przypominam sobie, prawdą jest niezawodną, wolałabym umrzeć sto razy, niż budzić się z myślą okropnego losu, który nas może spotkać.

Jęk i płacz niewiast był odpowiedzią na jéj pytania. Podczas gdy białogłowy zawodziły żale, lub znów pocieszały się wzajemnie, wpadł Hanko z zięciem i oznajmił Annie rozkaz księcia, przy czem ostrzegł, że wszelki opór z jéj strony na nic się nie przyda, bo cała twierdza i załoga jest w jego mocy, a drżą wszyscy przed nim i baczni są na każde skinienie. To fałsz! zawołała Anna, Władysław Biały, nie może być tak okrutny; on jest rycerzem, księciem, nigdy nieobchodziłby się niegodnie i nie po rycersku ze słabą białogłową.

— Że tak jest, jako mówię, świadkiem jest zięć mój, którego przyprowadziłem z sobą, a że jestem więźniem księcia, muszę spełnić jego rozkaz, chociażbyście nie zechcieli pójść za mną dobrowolnie.

— Niegodziwy! ośmielasz się mówić, córce możnego i dzielnego rycerza, że gwałtem uprowadzisz ją z niewieściéj komnaty i zamkniesz jak podłą niewolnicę?

— Powiadam że muszę spełnić rozkaz księcia, bo nie myślę za wasz upór przypłacić głową, zresztą gdybym się ulitował, znajdą się inni, którzy wypełnią wolę swego pana i zaniosą was pomimo woli na wieżę.

— Jeśli tak, ty i twój książe jesteście bez czci i wiary, a srogo Bóg was ukarze za złe które mi wyrządzicie.

— Nie moja w tem wina, spełniam rozkaz i proszę nie wyrządzajcie sobie większéj krzywdy, a chodźcie za mną dokąd wam książe przenieść się rozkazał. To powiedziawszy dał znak swojemu zięciowi ażeby mu dopomógł w razie oporu ze strony niewiast. Anna dotąd stała nieporuszona i dumnym wzrokiem mierzyła hardą postać i chytre oblicze Hanki, ale zauważywszy gotowość służalców do wykonania zamierzonego gwałtu, zapłakała głośno i rzuciła się w objęcia żony Krystyna.

Hanko okazywał niecierpliwość z powodu że pożegnanie rozczulonych niewiast może przeciągnąć się za długo i posuwając się krok za krokiem ku Annie, jak kot kiedy ma wkrótce pochwycić swą zdobycz, skinął znów na towarzysza i zawołał:

— Zadługo już czekam, książe rozkazał mi odprowadzić was natychmiast na wieżę. Poczem uchwycił oburącz płaczącą dziewicę i przy pomocy zięcia wyniósł ją na wpół żywą z komnaty, podczas gdy starościna i jéj córka srogie zawodziły żale i skargi nad swoim i miłéj Anny losem.

XI.

Słońce świeciło już wysoko nad złotoryjskim zamkiem i daleko rozpędziło mgły jesienne; dzień ten, pierwszego października, piękną zapowiadał jesień uroczym spokojem cała oddychała przyroda, a drzewa i gaje tajemniczą pajęczyny powiązane były nicią, która w różnych kształtach snuła się w górze, niby jaki gmach nadpowietrzny. W zamku było ludno i wesoło, a ludzie złotoryjskiego starosty, widząc niepodobieństwo wyjścia z zasadzki prędko pogodzili się z nowym losem, porozumieli ze zwycięzcami pijąc z niemi ochoczo. Ale ten pogodny ranek smutne gotował przebudzenie Krystynowi ze Skrzypowa i jego braciom, którzy pomimo ogromnego gwaru nie ocknęli się dotąd i chrapali potężnie; dopiero kiedy ciepłe promienia jaskrawego słońca padły na ich oblicza, najprzód poruszył się Krystyn i jakby w śnie niespokojnym wybąknął kilka niezrozumiałych wyrazów, poczem niby odganiając się od strasznego widma, machnął w powietrzu dłonią, wydał przeraźliwy okrzyk i roztworzył powieki. Przeciera nieszczęsny jeniec zaspane oczy, spogląda na rozstawionych po rogach komnaty służalców, ale nie może sobie zdać sprawy ani z ubiegłych wypadków, ani z tego, co go otacza. Czas pewien błąkał się umysł Krystyna w krainie zagadki i cieniów, aż w końcu, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo obecnego położenia, krzyknął przerażonym głosem: Co to jest, co to się znaczy na rany Boskie, co tu robicie łotry w mojéj komnacie?

— Jesteśmy tu postawieni z rozkazu Gniewkowskiego księcia.

— Z rozkazu Gniewkowskiego księcia! zawołał grzmiącym głosem zrywając się nagle: „Słyszycie panowie bracia, Gniewkowski książe, zdradza, gwałt, najazd!“ to rzekłszy pochwycił oburącz ławę, na któréj spoczywali bracia, a silne wstrząśnienie obudziło ich z ciężkiego letargu i skoczyli razem jak jeden, wołając przeraźliwie: co to, co wam się dzieje panie bracie?

— Pytacie co to? gwałt, zdrada, Władysław Biały! za mną bracia... Bartoszu, Jacku, Macieju, gdzie jesteście? gdzie mój miecz i zbroja... dajcie mi miecz i zbroję... I biegał stary Krystyn po komnacie jak opętany, ale gdy spostrzegł że próżne jego wołanie, bo nikt mu nieodpowiada, a postawione na straży draby zbliżają się do niego i każą mu być cicho w imieniu księcia, pochwycił z rozpaczą ogromną ławę, podniósł ją w górę nad głowę jednego ze służalców i byłby niewątpliwie roztrzaskał mu czaszkę, gdyby dwaj inni nie powstrzymali tego zamachu, ująwszy go w barczyste ramiona i zagroziwszy że go zwiążą i odstawią do lochu, jeżeli nie zachowa się spokojnie. Widząc oczywistą przemoc, ucichł zasapany starosta, kiedy wszedł do jego komnaty Jurko. Krystyn zmierzył go od stóp do głowy z wyrazem podziwu i niespokojności, którą jednak usiłował ukryć i zapytał zuchwale: kto jest i po co przychodzi?

— Jestem Jurko, towarzysz księcia Władysława Białego i przyszedłem z jego rozkazu.

— Jurko, towarzysz księcia, pogardliwie odparł Krystyn, ani ty ani twój książe mój bracie, nie mają prawa rozkazywać w moim zamku.

— Czy ma prawo, czy nie, nie moja rzecz rozwodzić się nad tem, ale wiem dobrze że Władysław Biały jest dziś panem zamczyska i że wy starosto i każdy kto jeno tutaj żyje słuchać musi jego rozkazu, więc radzę wam nie żartować z księciem, bo krótka z nim sprawa.

— I ze mną także, okrzyknął starosta, jak jestem Krystyn ze Skrzypowa nie pozwolę przewodzić nad sobą!

— O pozwolenie was nikt nie pyta i w imieniu Gniewkowskiego księcia i pana mojego powiadam wam: uciszcie się Krystynie, pokłońcie się pokornie Władysławowi, wydostańcie swoją szkatułę i bogaty ofiarujcie mu okup, bo jeśli nie uczynicie jako wam radzę, zamkniemy was w lochu, a dopóki nie skruszycie się bracie ani wy, ani białogłowy wasze nie ujrzą światła dziennego.

Ze zgrozą wysłuchał Krystyn srogiego wyroku i miotał klątwy i pogróżki, aż w końcu z zapienionemi ustami ochrypnię-

tym głosem zawołał: nie dam, nic nie dam, zabijcie mię, ćwiertujcie w kawały, nie dam żadnego wykupu!

Pod ten czas dwaj bracia Krystyna stali po rogach izby jak posągi ze zwieszoną głową, nie śmiejąc wyrzec słowa od wielkiego strachu; Jurko na owe złorzeczenia odpowiedział krótko: zobaczemy, zobaczemy, jak pościelesz, tak się wyśpisz panie starosto! i z szyderskim uśmiechem wyszedł z komnaty.

Tymczasem, na wschodniéj stronie zamku, w narożnéj baszcie do któréj wiodły wązkie i ciemne schody, Hanko z Brześcia, stał w progu izby, gdzie w głębi siedziała młoda zapłakana niewiasta, z którą zapoznaliśmy czytelników jako z córką rycerza Wedela dziedzica na Ujściu, a narzeczoną Bartosza z Więcborga starosty Odolanowskiego. Kilka godzin téj burzliwéj nocy zmieniły ją prawie do niepoznania. Włosy czarne spływały w nieładzie na twarz bladą i ciężkie łkania wydobywały się z jéj piersi; w téj chwili zwróciła wzrok na Hankę z wyrazem gorzkiego wyrzutu:

— Hanko! zdradziłeś nas niegodnie; powiedz mi za co odpłacasz nam tak srodze?

— Nie jestem zdrajcą, odrzekł zimno Hanko, pojmali mnie ludzie Gniewkowskiego księcia, a on zagroził, że dam natychmiast gardło jeżeli nie spełnię ślepo jego rozkazu. Rybacy schwytani wraz ze mną ułakomili się na złoto, upoili starostę i jego sługi; zamek bez mojéj przyczyny dostał się w ręce Władysława Białego, któremu dziś poprzysiągłem wierność i posłuszeństwo; rozkazał mi on przeprowadzić was do téj izby i czuwać nad wami, pod tym jeno warunkiem darował mi życie, więc wypełnić jego wolę muszę.

— Więc musisz być moim oprawcą i oddasz mię w ręce okrutnego księcia. Hanko, powiedz, czy ty masz Boga w sercu?..

Ciężkie łkania przerwały mowę dziewicy, gdy Hanko nic już nieodpowiadał, a stał ciągle nieporuszony ze zwieszoną głową.

— Hanko! mówiła daléj Anna uspokoiwszy nagle wzruszenie, — nie bądź tak okrutnym, wysłuchaj mego błagania, ulituj się nad nędznym losem dziewki, która dziś jeno Boga samego w niebie może mieć obrońcą.

— Choćbym chciał nawet, nic nie mogę uczynić dla was, dopóki sam jestem więźniem.

— Uciekaj ze mną czém prędzéj, uciekaj od tego księcia, którego srogość i popędliwość znaną jest dobrze.

— Nie mogę — odparł zimno Hanko, jak i gdzie uciekać, kiedy wszystkie wyjścia obsaczyły te łotry, ludzie Jurka?

— Jakto? Jurko, ten wódz rozbójników jest razom z Gniewkowskim księciem?

Cała załoga zamku składa się teraz z jego służalców.

— O Władysławie Biały! więc z gromadą tych zbójców, chcesz zdobyć koronę twoich przodków Piastów?

Kiedy głośno ostatnie wymawiała wyrazy, drzwi się nagle rozwarły i w progu komnaty stanął książe; na ten widok wydała Anna jęk głuchy i zakryła twarz rękami.

— Tak, jestem ten sam Władysław Biały.... wiedz miła panno że nie tylko Jurkę, ale nawet piekło całe gotówbym przyzwać na pomoc, ażeby odzyskać wydarte mi ziemie i zamki i posiąść serce twoje.

Posłyszawszy te słowa i widząc zbliżającego się księcia, odskoczyła z przerażeniem Anna, a opierając się o ścianę, drżąca uczuciem zgrozy i trwogi, „nigdy!“ zawołała z boleścią.

— I ja nigdy nie spocznę, póki nie osięgnę celu mych żądań, to rzekłszy chciał ująć jéj rękę, ale dziewka odskoczyła jak spłoszona łania, poczem podniosła dumnie głowę, a twarz jéj opromieniła się strugą niebieskiego światła.

— Książe Władysławie! azali chcecie urągać się ze mnie, dla tego że jestem słaba i bezbronna? wiem że w waszéj dziś jestem mocy, ale wiedźcie także że śmierć mię od was uwolnić może w każdéj chwili.

— Nie umrzesz miła Anno! żądam od ciebie jednego tylko słowa, powiedz, że mię miłować będziesz, a zostaniesz panią zamku i księztwa, ja zaś sługą twym i najwierniejszym rycerzem. Pójdę walczyć za cześć twoją, choćbym jak drugi Dawid potykać się miał z olbrzymem Goljatem,

zwyciężę i u stóp twych złożę łupy, jakich sama zażądasz.

Anna zamiast odpowiedzi zakryła twarz rękami i zapłakała gorzko. Na licu Gniewkowskiego księcia malowało się silne wzruszenie, stał długo milczący i blady, bo boleść Anny przejęła jakąś niepewnością i trwogą gwałtowny umysł jego.

— Nic więc nie odpowiadasz na moje słowa, rzekł po pewnym przeciągu czasu.

— Nie nic więcéj, bo już wszystko powiedziałam, odrzekła z płaczem.

— Jak to?

wzburzonego serca bicie, wydawać tu i owdzie rozkazy. Spotkał się wkrótce z Jurkiem i zapytał go, czy prawda że Krystyn ze Skrzypowa nie chce żądanego złożyć okupu?

— Nie tylko powiada że nie da, ale rzuca się na ludzi postawionych na straży, łaje i grozi.

— Okuć go w kajdany i wsadzić do lochu! z białogłowami jeno obchodźcie się uczciwie, niechaj nikt krzywdy wyrządzić im się nie waży. Ażeby Krystynowi było weseléj zamknij z nim razem braci, niech



Anna zamiast odpowiedzi zakryła twarz rękami i zapłakała gorzko.

— Odpowiedziałam że próżne jest wasze żądanie, bo innemu przysięgłam już przed Bogiem.

— Co mówisz?

— Przysięgłam że jeno Bartosza z Więcborga, a nikogo innego niepoślubię.

— Bartosza z Więcborga! zawołał płonąc gniewem książe. O! na to nie zezwolę nigdy, dopóki dłoń moja władać będzie mieczem, niepójdziesz z nim do ołtarza, chyba po trupie moim! To powiedziawszy, wybiegł szybko z komnaty, a wydostawszy się na podwórze zamkowe, jął aby stłumić

siedzą o chlebie i wodzie, dopóki się nie okupią. Skoro ułatwisz się z jeńcami, weźmiesz trzydziestu towarzyszów i pojedziesz na wyprawę do tych włości i grodów, które mi niegdyś złożyły na wierność przysięgę, a teraz jéj niedochowują; nie oszczędzaj nikogo, a pamiętaj że każdego zdrajcę masz dostawić do Złotoryjskiego zamku.

Gdy Władysław wydawał te rozkazy przybył goniec z Raciąża i oddał mu list od hrabiego Ulrycha, który stał ze swoim niemieckim hufcem pod murami tamecznego

zamczyska i przyzywał księcia ażeby się z nim połączył.

— Dobra wieść Jurko! hrabia z Drezdenka przybył z pomocą; ty jednak zrób jak ci powiedziałem, niepokój nieposłuszne włoście dniem i nocą, a powracaj do zamku z bogatym obłowem; łupy twoją będą własnością, wymawiam dla siebie tylko ukaranie więźniów, których mi żywcem dostawisz. Jadę do Raciąża, gdzie się połączę z Ulrychem, połowę załogi biorę z sobą, ty nad resztą obejmiesz dowództwo, a w czasie nieobecności, syn twój cię zastąpi, gdzież on jest Jurku?

Jurko wskazał palcem na tęgiego chłopa z ogromną rudowłosą głową i z siwemi oczami, stał on opodal z koncerzem wężykowatym w ręku; na skinienie ojca stawił się natychmiast przed księciem, który rzekł doń te słowa:

— Niespodziewany cię spotka zaszczyt mój chłopcze, znam twoją roztropność więc w nieobecności ojca oddaję ci zarząd nad zamkiem i jego załogą, jeno pamiętaj sprawiać się trzeźwie i przytomnie, pilnuj dobrze więźniów, a niespuszczaj z oka Hanki i jego brata; po chwili dodał: zawołać tych łotrów, niech się natychmiast stawią przedemną. Gdy nadszedł wezwany Hanko, rzekł książe surowo:

— Pamiętaj że masz być stróżem córy dziedzica na Ujściu i że gardłem mi za nią odpowiesz; jeżeli będziesz wiernym i dobrym sługą, odpłacę z lichwą za twoją uczynność, ale wierzaj mi bracie, że gdybym dowiedział się o zdradzie, nic cię przed srogą nie zasłoni karą i znajdę cię wszędzie, choćbyś się ukrył pod ziemię.

Odprawiwszy Hankę odwrócił się jeszcze raz do Jurkowego syna i polecił mu, ażeby nikomu nieoddawał kluczy krom ojcu, lub hrabiemu Ulrychowi, jeżeli ten z polecenia książęcego przyjedzie do Złotorji. Wydawszy te rozporządzenia, wybrał Władysław Biały najdorodniejszych i najlepiéj uzbrojonych kilkudziesięciu ludzi i dosiadłszy konia puścił się na ich czele ku stronie Raciąża, zamku Zbiluty biskupa kujawskiego.

(D. c. n.)

WYCIECZKA W LUBELSKIE W ROKU 1861.

Zdawna położyłam sobie za najświętszy obowiązek, bliższe rodzinnéj ziemi poznanie i niewysłowiona roskosz wewnętrzna wynagradza mnie za trud niewielki. Od lat kilku, co rok zwiedzam jaki nieznany sobie zakątek, bynajmniéj nie w charakterze zbieracza i archeologa, ale w pokorze i miłości szukając tego tchnienia z ubiegłego żywota na posiłek dzisiejszemu, tchnienia — co przewiewając ponad mozajką faktów naznoszonych z mozołem przez badaczy do skarbnicy dziejowéj, czyni zeń obraz pełen życia, z którego dla każdego tryska prawda i nauka.

Nie raz przestrzegano mnie co do téj lub owéj miejscowości: niéma już tam co widzieć, kupa gruzów zaledwie. Pojechałam, i nie żałowałam tego. Na gruzach duch przeszłości zapala pochodnię rozświecającą wypadki dni ubiegłych, a wicher potrącający starte przez czas kamienie, nagromadzone do wiekopomnych budowli przez rozsypane w proch generacje, dziwnym, tajemniczym językiem do żyjących przemawia.

Będąc tedy w lecie 1861 roku w okolicach Chełma wybrałam się w drogę *umyślnie* dla zwiedzenia Zamościa. Jeździ się u nas *umyślnie* dla widzenia obcych okolic, ale swoje niewiele używały dotąd tych względów, więc puszczać się w siedmiomilową podróż po niekoniecznie dobréj drodze, nie mając nawet zamiaru robić tanich sprawunków u miejscowych żydów, wygląda to na tak dziwaczną zachciankę, że się z niéj nie jednemu tłomaczyć trzeba. Gościniec bliższy, przykrzejszy dla koni, ale powabniejszy dla podróżnego, prowadził mnie na miasteczko Wojsławice, lichą dziś mieścinę, któréj jedyną ozdobą jest

piękny murowany kościół, pod wezwaniem Ŝgo Michała otoczony wiekowemi lipami, sadzonemi podobno jeszcze przez Stefana Stanisława Czarnieckiego, dziedzica Wojsławic, pisarza polnego koronnego, synowca wielkiego Stefana. Gdy modrzewiowy kościołek sięgający odległéj starożytności zaczął grozić ruiną, Czarnieccy oboje wybudowali nowy, murowany 1672 roku; ten w lat kilka odnowiony przez Michała na Sędziszowie Potockiego wojewodę Wołyńskiego, żonatego z jedyną córką hetmana Czarnieckiego. Przed laty dwudziestu dobudowano doń kaplicę, co mu dało kształt krzyża i starannie odnowiono. Z pamiątek w kościele zachowanych godnym wspomnienia jest krzyż srebrny z relikwjami Ŝgo Teodora, przez Pawła V Papieża darowany. Wojsławice otrzymały przywilej miejski w 1508 r. od Hieronima Zakliki, o którym to lud śpiewał: „pan Zaklika z Wojsławic, pędził Tatary do granic. (Paprocki). „Tenże Zaklika gdy mu król w r. 1507 ofiarował za liczne jego zasługi województwo Sandomierskie, nie przyjął go, radząc oddać równie godnym a młodszym. Co za różnica od późniejszych czasów! Zaklika strawił wiek cały na usługach kraju i godności brać nie chciał, gdy późniéj“ każdy rwał co się dało, niezrobiwszy nic, albo bardzo mało.“

Wśród takich myśli jechaliśmy z Wojsławic do Grabowca; okolica prześliczna, wzgórzysta, poprzerzynana strumykami i obszernemi o bujnéj roślinności dolinami; tu i owdzie lasy bukowe nie widziane na Mazowszu, przypominają wybrzeża Przemszy i Brynicy w krakowskiém; brak tylko skał i kamieni, których tu na lekarstwo nié ma. Mijając zdala Tuczępy, siedzibę niegdyś chwilowo znakomitego rodu Łaszczów, zbliżyliśmy się do Grabowca, położonego wśród pięknych lasów, w których obfitująca grabina nadała mu bez wątpienia nazwę. Miasteczko to należące do książąt ruskich a następnie litewskich, za króla Ludwika zdobyte było przez Sędziwoja z Szubina, starostę krakowskiego wraz z ziemią chełmską i przyłączone do korony. (Star. Polska t. II). Następnie dane przez Wł. Jagiełłę w posagu siostrze Aleksandrze, przeszło na własność książąt mazowieckich. Do dziś dnia górę za miastem zwą zamkową, choć zamek dawno zniszczał i zaledwie niewielką gromadką cegieł i śladami obszernych lochów, przypomina dawne swoje istnienie. Teraz krzyż, godło cierpień i zbawienia jest jedynym punktem zatrzymującym oko podróżnego na téj wyniosłéj górze. Miasteczko uległo kilkakroć zniszczeniu, w skutek najścia nieprzyjaciół lub ognia. Ostatnio splondrowaném zostało przez Sasów za Augusta II, czego pamiątkę dochowuje kielich srebrny w r. 1717 przez Krzysztofa Szembeka, podówczas Biskupa Chełmskiego, a późniéj prymasa, ofiarowany jako ekspiacja za zrabowanie kościoła przez Sasów. Późniéj otrzymali je Potoccy, którzy jak wszyscy starostowie, dbali tylko o dochód, nie zaś o podniesienie miasta, które też zupełnie podupadło. W roku 1814 dnia 14 Września, wybuchły pożar, zniszczył połowę téj mieściny i najdawniejszy jéj kościół jeszcze przez Ziemowita w 1394 r. ufundowany. Ksiądz Boniewski podaje legendę według któréj Ziemowit zagrożony śmiercią, gdy w Krakowie starał się o rękę Jadwigi, ukryty został przez proboszcza u Ŝgo Piotra i miał sobie przez tegoż ułatwioną sposobność widzenia się z Jadwigą, ale pod warunkiem że kościół w Grabowie zbuduje. Bajeczka ta widocznie ukutą została na podobieństwo romansu Wilhelma z Jadwigą.

Na drodze z Grabowca do Zamościa dostaliśmy się do bitéj drogi w Łabuniach, siedziby niegdyś Żółkiewskich i Zamojskich, dzisiaj Tarnowskich. Zdala już widać na wzgórzu dachy, starożytnego obszernego pałacu, który otaczają stare aleje lip ogromnych, tak ulubionych przodkom naszym. Stanąwszy w Łabuniach dla popasu, widzieliśmy ogród pałacowy, urządzony w nowym smaku, którego jednak główną ozdobą są owe niegdyś szpalery dziś aleje lipowe i grabowe. Samego pałacu widzieć nie mogliśmy, budowa to obszerna, o dwóch skrzydłach, w smaku odrodzenia, przerobiona widocznie i zdaje się pochodzić z czasów hetmana Żółkiewskiego, którego ręką miał być ten ogród sadzony. Król Jan III często podobno nawiedzał

Łabunie. Kościół z drugiéj strony szosy leżący, dość pięknéj struktury, założonym został w r. 1436, przez Adama dziedzica Krynicy i Łabuń i konsekrowanym tegoż roku przez Jana z Opatowic, Biskupa Chełmskiego.

Daléj roztacza się droga w powabnéj okolicy przeplatającéj wzgórza lesiste, dolinkami o wonnych łąkach, aż nareszcie staje się wygodnym gościńcem na płaszczyznach okalających Zamość. Dziwny na raz przedstawia się obraz, mieszanina starych, historycznych gmachów i nowych zabudowań fortecznych, cisza zaniedbanych świątyń i gwar snującego się ludu. Na boku zostawiliśmy Stary Zamość, a na prawo z nieopisaném wzruszeniem, wjechaliśmy przez most zwodzony starą *Lubelską* bramą do Zamościa nad Wieprzem, tak bowiem jest nazwany w przywileju lokacyjnym wielkiego kanclerza.

Niéma bardziéj sprzyjającéj pory do wywołania wyobraźnią widm przeszłości, wśród miejsc historycznych, jak cienie zapadającéj nocy. W taki też piękny, cichy, księżycowy wieczór, weszłam po raz pierwszy na rynek Zamościa, który przechował całkowicie swą starożytną barwę. Nic wspanialszego nad ratusz jego stary, z wieżą, ze wschodami na zewnątrz obszernemi, tak jak to je dawniéj budować umiano, które występują szeroko naprzód niby stopnie do królewskiego majestatu. Cztery ściany rynku z którego wybiegają wązkie ulice, zakreślone są kilkopiętrowemi kamienicami pociemniałemi jak minione wieki, tu i owdzie rysującemi się w jakieś fantastyczne linje, a każda z nich wsparła się z przodu na ciężkich kolumnach, wystając całym frontem swoim, ponad arkadami sklepionemi nad chodnikiem, który do koła rynek obiega, upstrzony sklepami, przytulając jak port bezpieczny, zwłaszcza w czasie burz i słoty, licznych przechodniów; z tych krużganków kroki ludzkie dziwny szmer do późnéj nocy przynoszą nieprzyzwyczajonym uszom. Teraz wyobraźcie sobie ów rynek starożytnego miasta, na wpółuciszonego nocnym spoczynkiem, oświecony najczystszemi promieńmi księżyca, jakie kiedy jaśniały na lazurowém tle téj kopuły niezmierzonéj, zdającéj się zaokrąglać nad naszemi głowami, a wyda wam się jak olbrzymia średniowieczna świątynia, po któréj krużgankach przesuwają się cienie dawno zmarłych ojców; niektóre okna mrugają światłem jak lampki ołtarzów, w pośrodku zaś ratusz ze swemi obszernemi gankami opierającemi się o strzelającą w niebo wieżę, to niby kazalnica z któréj staruszek czas, prawi dla żyjącego pokolenia nauczające rzeczy na tekście dziejów osnute.

Poszliśmy ku Szczebrzeskiéj bramie kędy nowe więzienie i nie opodal zamek stary; postępowaliśmy w zadumie głębokiéj w stronę kościoła farnego, w którego podziemiach spoczął nie jeden mąż zasłużony ojczyznie, uciszając mimowolnie szmer kroków i mowy naszéj, tak jak zwykli czynić ludzie w miejscach, które ich religijną czcią przejmują.

Nazajutrz rano zabrałam się do szczegółowego obejrzenia Zamościa. Nie trudno zaprawdę było wznieść się szybko w powagę i znaczenie miastu, które zakładał mądry i przemożny pan, pod rządami dzielnego króla swego przyjaciela. Z początku zamyślił Jan Zamojski, żeby nie przypuszczać do obywatelstwa w Zamościu, tylko ludzi wyznających religję rzymsko-katolicką, lecz późniéj zmienił postanowienie skoro zewsząd zaczęła napływać ludność, pragnąca mieć udział w prawach i swobodach nowo powstającego miasta. Najprzód przybyli ormianie z różnych stron Azji i założyli sobie kościół. Następnie grecy szukający przytułku przed prześladowaniem mahometanów, unosząc majątki znaczne ściągali do Polski i od kanclerza dostali przywiléj na budowanie cerkwi w Zamościu. Stanęła ta cerkiew za pozwoleniem konstantynopolitańskiego patryarchy i pod jego juryzdykcją zostawała aż do r. 1706, w którym zmniejszającą się liczbę greków usunęła Anna z Gnińskich Zamojska, wdowa po Marcinie, a cerkiew posiedli unici. Przechowują tu obecnie będący Bazylianie dany grekom jeszcze w XVII wieku, na znak opieki przez patryarchę, krzyż cedrowy będący niegdyś na srebrnym postumencie, który gdzieś zaginął. Kościołek składa się z trzech części stosownie do tego jak był z małéj po-

czątkowéj kaplicy, trzy razy przybudowywany przez greków. Dzieje jego opisał biskup unicki chełmski, Szumborski niedawno zmarły, jednak, lubo twierdzi, że rok fundacji wspaniałego ikonostasu, napisany z tyłu obrazu Matki Boskiéj, umieszczonego wysoko, napróżno go tam z wielkim mozołem szukano. Jest prawdopodobieństwo, że ikonostas ten robili w XVII wieku przysłani od patryarchy z Konstantynopola robotnicy. Jest on cały przezroczysto rzeźbiony z lipowego drzewa w ptaki, arabeski misternego rysunku, główki pełne charakterystyki. Ta rozmaitość nie małéj artystycznéj wartości, bawi i zachwyca oko; gdy zwłaszcza promienie słońca wciskają się przez szyby okna będącego po nad głównym ołtarzem, trudno sobie wyobrazić piękność téj kunsztownéj, od lat poczerniałéj opony z drzewnéj koronki, przedzielającéj nawę kościelną. Niby jéj klamrą, jest obraz Matki Bożéj u saméj góry umieszczony, medalionami wizerunki Chrystusa i dwunastu apostołów odbijające od ponurego tła żywością farb olejnych, a dwoje drzwi przedstawiających postacie Aarona i Melchizedecha, są jéj podstawą, tak jak stary testament był podstawą nowego.

Kościół franciszkański, który dziś jeszcze mimo że wież pozbawiony, zwraca przedewszystkiém oko pyszną architekturą swoją i olbrzymią wysokością stérczy po nad zabudowaniami fortecznemi, jest przerobiony na koszary. Jeszcze za czasów austryjackich odebrano na ten cel zakonnikom klasztorne gmachy, a po roku 1809 i kościół zabrano. Pod tym gmachem trzypiętrowe podziemia zawierają groby dobrodziejów i zakonników; były one przytém składami kosztowności szlachty okolicznéj w czasie napaści nieprzyjaciela.

Szukaliśmy gmachów dawnéj akademji owéj córy akademji krakowskiéj, przedmiotu szczególniejszych starań w. kanclerza, pokazano nam szpital. Innych zatém śladów dawnego przeznaczenia, jak sklepione, obszerne, dawnéj architektury komnaty, budynek ten nie posiada.

Pokazano nam dom wysoki, stary, poczerniony, o grubym popękanym murze, w którym miał pierwotnie mieszkać Jan Zamojski, zajmując się urządzeniem miasta i twierdzy, która do obrony kraju przyczynić się miała; mieszkały tam późniéj siostry Miłosierdzia, a teraz urządzono resursę. Wspaniały zamek ordynatów, który mieścił kosztowny księgozbiór, ukończył dopiero Tomasz Zamojski syn Jana. Zamek ten teraz zamieszkały przez władze. Tuż zaraz wznosi się kollegiata, która niedawno uległa przerobieniu i kto wié czy na tém nie straciła, gdyż po innych gmachach jak ratusz, dawny kościół franciszkański i t. p. widziana zewnątrz, sprawia pewien rodzaj zawodu. W każdym razie wdzięczność należy się ks. Jędrzejewiczowi, za uchronienie jéj od ruiny, przez danie nowego dachu *własnym kosztem*, gdyż dawny zupełnie spruchniały, groził zawaleniem. Restauracji wewnętrznéj dopełnił w r. 1859 tenże ks. Jędrzejewicz także z własnéj kieszeni, nie doczekawszy się podobno odpowiedzi na listy z prośbą o pomoc pieniężną. Nie pierwszy to kościół staraniem tego zacnego kapłana odnowiony w Lubelskiém. Wydaje się koniecznie że w téj świątyni pokrywającéj groby wielkich w narodzie mężów, powinien się był zebrać cały przepych ozdób i architektury. Wewnątrz jednak przedstawia się dosyć wspaniale. Nagrobki kilku profesorów akademji wpadają zaraz w oczy; po prawéj stronie marmurowa tablica napisem swym świadczy, że tu leży sławny poeta Szymon Szymonowicz. Po lewéj jest wielkiéj piękności obraz włoskiego pędzla, niewiadomego jednak mistrza, podobno Perugina, przedstawiający Niepokalane Poczęcie N. M. Panny. Wizerunek ten tchnie taką boskością i pogodą, że w obec niego kilka chwil zadumy, wlewa pociechę do duszy smętnego wędrowca. Miał go przywieść z Włoch sam założyciel kościoła i miasta, który tu niéma żadnego pomnika, mimo że jego zwłoki w podziemiach pochowane. W kaplicy położonéj po prawéj stronie wielkiego ołtarza, a wznoszącéj się nad grobem, możnaby życzyć nawet więcéj ozdoby i dbałości. Takie przynajmniéj wrażenie robi na pierwszy rzut oka, ale gdy stojącym na progu, zaświeci bronzowemi zgłoski na szarém tle kamienia posadzki wypisane: *Hic situs est Joannes Za-*

moyski, to wszystko odrazu w innéj przedstawia się barwie, jak gdyby urok imienia zasłużonego męża, swą wielkością całą wypełnił kaplicę.

Ksiądz Kuleszyński, który właśnie drukuje we Lwowie obszerną historją Zamościa, wprowadził nas do podziemiów, kędy Zamojskich groby. Przewiewne i czysto utrzymane sklepienia, blade rzucały cienie przy oświecającéj nas gromnicy. Są tu trumny i ostatnio zmarłych członków ordynackiéj rodziny. Jan wnuk i ostatni potomek wielkiego Jana, postawiony obok potomków drugiéj linji ordynatów idących od Marcina, choć doprawdy miał wszelkie prawo spocząć obok znakomitéj trójki, złączonéj w osobnéj kaplicy, któréj wejście oddziela od dalszych podziemiów, żelazna krata. Z dokumentów archiwum ordynacji okazuje się nawet, że niewiadomo gdzie podziano ciało wnuka Jana kanclerza Zamojskiego, gdyż z powodu natychmiastowego wyjazdu Marji Kazimiery, jego żony (późniejszéj Sobieskiéj) tudzież rabunku nastąpionego potem, rzucono trumnę niewiadomo gdzie. Ponieważ trzeba było iść po klucz aby kaplicę otworzyć, zapytał nas dwóch zwiedzających, szanowny przewodnik, czy się nie boimy zostać same? — Zapewniłyśmy, że nigdzie byśmy się bezpieczniejszemi nie czuły i wziąwszy do rąk gromnice, oparłyśmy czoła o kratę, po za którą, na nieco rozjaśnioném tle ciemnicy, rysowały się przed naszemi oczyma trzy olbrzymie cienie podwójnych trumien Jana, Tomasza i znacznie późniéj od nich żyjącego Andrzeja kanclerza. Myśl naszą i oczy zarówno przykuwały do siebie te ciężkie wieka, kryjące szczątki mężów znaczących w narodzie, wpływających niegdyś na jego losy. Wtém skrzypnął zardzewiały rygiel, otwarły się kratowane drzwi i przystąpiliśmy do trumny w. hetmana.....

Drugi z kolei ordynat Tomasz znalazł już Zamość wcale ludnym i urządzonym, wszyscy używali tu swobód nie małych, żydzi nawet chodzili przy karabelach. Na żądanie Jana Zamojskiego i za zezwoleniem Stanów, mieszkańcy ordynacji byli wyjęci z pod władzy trybunałów koronnych i powstał trybunał ordynacki w Zamościu, gdzie się po trzech deputowanych z każdego miasta ordynacji dwa razy na rok zjeżdżało. Trwał jeszcze za czasów austryjackich, wprawdzie z mniejszą władzą; ustał po roku 1809.

Tomasz Zamojski często przemieszkiwał w Zamościu i dbał o jego pomyślność. Żona Tomasza, Katarzyna z Ostroga fundowała tu przy kościele farnym, kollegjatę kanoników, któréj dziekan ma tytuł infułata, następnie założyła seminarium dla duchownéj młodzieży. Za syna ich Jana, trzeciego z kolei ordynata, Zamość widywał pod murami swemi niebezpiecznych gości. Oblegał go przez cztery tygodnie Chmielnicki ze swém kozactwem i tylko nadesłana, przez nowo obranego króla Jana Kazimierza buława, jako znamię ofiarowanéj mu godności najwyższego hetmana kozaków, zdołała zmienić jego usposobienia.

W kilka lat późniéj sam król szwedzki Karol Gustaw zapędził się aż pod Zamość i wezwał Jana Zamojskiego do poddania się. „Nie poddam się“ odpowiedział krótko godny wnuk wielkiego hetmana. Na to szwedzi wypuścili ze 200 kul na twierdzę i znowu ich trębacz wzywał do poddania się. „Nie ma u nas wielkiéj szkody, kazał go zapewnić Zamojski.

Więc król udał się do obietnic, lecz i tych nieprzyjęto.

Mimo taką nieugiętość Zamojskiego następnego roku próbował jeszcze Rakocy ks. Siedmiogrodzki przeciągnąć go na stronę szweda, lecz znowu nadaremno. Szło im głównie o wydostanie trzymanych w Zamościu jeńców szwedzkich.

„Po odebraniu Warszawy przez króla polskiego i po zrobionéj kapitulacji wojsko szwedzkie wyciągnęło do Torunia, zostawiwszy jako zakładników 10 znaczniejszych panów szwedzkich, których król Polski do Zamościa odesłał i tam jedni poumierali, drudzy na wolność wypuszczeni zostali. Umarł wódz szwedzki Wittemberg zmartwiony długą niewolą; będąc w malignie oderwał sobie zawiązki po upuszczeniu krwi dnia 3 Lipca 1657 r., pochowany w rogu cmentarza kollegiaty Zamojskiéj, obrzędem protestanckim, z honorami wojsk garnizonowych, na którego

zwłokach stanęła figura murowana z żelaznym krzyżem i nadpisem u dołu: *Obsiste viator, Externus Bellator Caroli Regis Sueciae Generalis Exercituum dux Vittemberg, hoc monumentum habet* (*), (z współczesnego rękopismu akademickiego).

Biblioteka ordynacka przeniesioną została do Zwierzyńca. Przechowują w niéj ciekawe rękopisma, a między niemi znajduje się powyżéj przytoczony. Jest to opis owoczesnych wydarzeń przez Bazylego Rudomina, professora akademji Zamojskiéj, który umarł 1672 roku, a zatém mógł być widzem wypadków jakie opisuje. Ks. Kuleszyński udzielił mi łaskawie kilka wyjątków z owego rękopismu, z których jeszcze jeden ustęp przytaczam, dla jego sprzeczności z ogólném twierdzeniem o miejscu śmierci Chmielnickiego.

„Roku 1657 Bohdan Chmielnicki stojąc przeciw szwedom z wojskiem polskiém w Zamościu umiera. Czując się bliskim zgonu, każe kozakom swoim i wojsku polskiemu, którego było blisko 40,000 usypać wielką mogiłę w miejscu gdzie miał swój namiot i główną kwaterę, pierwszy raz podczas oblężenia Zamościa w r. 1648 i drugi raz stojąc przeciw szwedom wprost Lubelskiéj bramy za przedmieściem Janowieckiém pod Hyżą, w końcu pól przytykających do łąk, w któréj go czerncy (Bazylianie Zamojscy), obrządkiem greckim podług jego ostatniéj woli przy wielkich manewrach wojska garnizonu Zamojskiego i bicia z dział, tudzież wojska królewskiego i kozackich pułków wspaniale dnia 26 maja pochowali. Na mogile postawili kozacy krzyż kamienny z napisem ruskim w tych słowach: *Tut poczywajet hłasny wsiu Bohdan Chmielnicki.*

Wełykoj buławy, Bunczuka i churohwy polskoj Hetman, sytyj sławy kozackoj i nepokolebymyi Hosudar."

Tymczasem upowszechnioném jest mniemaniem, że Chmielnicki umarł w Czechrynie, pochowany zaś został w cerkwi którą sam wystawił w Subotowie, o ile więc świadectwu Rudomina wiarę dać można, warto żeby rozstrzygnęli uczeni oceniając krytycznie rękopism, lecz słyszałam, że do archiwum Zwierzynieckiego wstęp niezmiernie trudny.

Roku 1658 straszny pożar niszczący pierwotny Zamość, rozpoczął szereg klęsk które powoli zmieniały jego fizognomię i znaczenie wśród miast innych. Wprawdzie ordynat Jan syn Tomasza, pieczołowitością swoją ułagodził ciosy zadane jego pomyślności, lecz on sam zszedł wkrótce ze świata bez potomka, a Zamość zaczęli sobie wyrywać krewni najblizsi. Dopiero za staraniem króla Jana, który jeszcze przed wstąpieniem na tron ożenił się z wdową po Zamojskim, została ordynacja oddana właściwym następcom z drugiéj linji. Ową zaś żoną dwóch Janów tak bardzo od nich kochaną, a tak mało na to zasługującą była Marja Kazimiera, piękna margrabianka d'Arquien i tą pięknością usidlająca polskich bohaterów. Okropna jest potęga dwóch ócz połyskających żarem młodości, kiedy nie są pięknéj duszy zwierciadłem, ale posłannikami potęg zmysłowych, będących na usługi wyuzdanéj ambicji. Smutno się tu pokazuje słaba strona *niezwalczonych.* Pierwszy Jan wziął Marję ubogą panienkę, na dworze królowéj Marji Ludwiki, otoczył uwielbieniem, miłością, bogactwem, honorami. Spółczesni w listach i pamiętnikach, nie mogą się dosyć nachwalić przepychu klejnotów jakiemi ją obdarzył. Lecz to wszystko nie obudziło w jéj sercu, ani miłości, ani wdzięczności. Francuzka przedewszystkiém *wietrzyła* wyniesienie. Z ordynacji Zamojskiéj, zaledwie zastygło ramię, co ją na nią wprowadziło, podała rękę innemu Janowi, który ją wkrótce powiódł na stopnie tronu i dźwigał jarzmo jéj złośliwego charakteru, z wyrozumiałością rozmarzonego kochanka.

Bogusław Radziwiłł, tak się wyraża o powtórném zamęściu Marji Kazimiery, w liście do ks: Marji Anny, córki Janusza Radziwiłła.

„J. m. p. Sobieski marszałek w. koronny, wziął ślub z wdową po wojewodzie sandomirskiém Zamojskim, który dopiero sześć niedziel jak umarł, a żona nawet u ciała nie była. Ceremonja wprawdzie że krótka i nie kosztowna bardzo mi się

*) Wstrzymaj się wędrowcze, zagraniczny wojownik, główny dowódzca wojsk Karola króla szwedzkiego, ma ten pomnik.

podoba, ale proceder wdowy bynajmniéj, bo tak zacny człowiek, który ją w nędzy wziął i panią uczynił, godzien był trochę łez i poszanowania.“

Opuszczając Zamość obejrzeliśmy się jeszcze razy kilka, dla objęcia wzrokiem całości jego imponującéj. Trzy stare bramy, lwowska, lubelska i szczebrzeska, pozostały wplecione w linje dzisiejszych fortyfikacyi, po nad niemi górują starożytne kościoły, z tém piętnem niczém niespożytéj wielkości, jakiém namaszczają długie lat szeregi. Słowem, że w téj dziwnéj mieszaninie, zda się, jakby przeszłość ulatywała z cisnących ją objęć teraźniejszości.

KONSTANCJA Z CZARTORYSKICH PONIATOWSKA

KASZTELANOWA KRAKOWSKA.

Jedną z tak licznych u nas matek, które choć nie są wdowami, jednakże wyłącznie same zajmują się wychowaniem synów, była Konstancja z Czartoryskich Poniatowska. Mąż jéj Stanisław Poniatowski, wojewoda Mazowiecki, kasztelan krakowski, regimentarz koronny, był walecznym żołnierzem i zdolnym dyplomatą, ale skoro się ożenił już w piątym krzyżyku życia, całym jego domem i stosunkami rodzinnemi, zaczęła trząść dumna księżniczka którą poślubił. „Doprawdy, to dziwnie (powiada Bartoszewicz w swoich Życiorysach znakomitych mężów), miał kasztelan rozum na wszystko, umiał się wszędzie znaleźć, z każdego zadania potrafił się wywiązać — znalazł sposoby i środki; minister i wódz, dworak i obywatel, wszystko w nim było, a nie umiał być panem w domu, nie potrafił być ojcem rodziny.“ Opieszałość tę tłomaczyć jeszcze można u Poniatowskiego zajęciem jakie mu dawały coraz bardziéj gmatwające się sprawy kraju, ale dziś widzimy czasem ojców, co nic nie mają do roboty, a sądzą że już dosyć zrobili dla wychowania dzieci, skoro odliczyli żądane na ten cel pieniądze.

Poniatowski sam sobie był winien wszystko, własną pracą i zdolnością doszedł do potęgi i znaczenia, można powiedzieć że się zużył na usługach Rzeczypospolitéj, bo na schyłku życia zaczął go odstępować dawny hart duszy i nawet w roli politycznéj zastąpiła go żona, siostra występujących tak przeważnie zasasów dwóch Czartoryskich, kanclerza litewskiego Michała i wojewody ruskiego Augusta. Przeciw nim stanęli Potoccy i Radziwiłłowie i wśród wzburzenia namiętności i stronniczych zabiegów, zamarzyło się dumnéj kasztelanowéj, która już męża wyszłego z niezamożnéj rodziny wprowadziła między magnatów, wynieść synów jeszcze bardziéj nad ten poziom szlachecki. Lecz nie troszczyła się o to bynajmniéj żeby wielkością duszy i umysłu doszli do najwyższych zaszczytów, zamiast więc ukrzepiać ich charakter, rozwijać rozum, podnosiła w nich próżność, budziła nadzieje świetnéj przyszłości, pretensje do znaczenia, pozwalając zresztą robić, jako modnym paniczom, co im się tylko podobało. Oni taką pobłażliwością zachęceni hulali wesoło, robili długi topiąc w zbytkach i rozkoszach przyrodzone umysłu zdolności. Zrobiła z nich więc nie dzielnych wojowników na wzór ojca i przodków, ale buduarowych rycerzy. Wymagała jednakże od nich i tych przymiotów o których rozwinięcie najmniéj się starała, kiedy szło o jéj obrażoną miłość własną. To téż kiedy najstarszy syn jéj Kazimierz nawykły nosić szpadę tylko dla parady, okrył się śmiesznością w sławnym z Tarłą pojedynku, do którego ona sama go popchnęła, na pierwsze przywitanie dała mu policzek, rozkazując powetować hańbę swoją na wojewodzie lubelskim, powtarzając że więcéj ma synów, że o niego jednego nie stoi, że śmierć jego nie zniszczyłaby świetnych rodziny nadziei, że wolałaby widzieć trupa z placu przywiezionego niż takiego syna, co drżał na

koniu i śmiech budził. Jednak ten gwałtownie na raz wylany potok surowych napomnień nie poprawił już niewieściucha. Kazimierz znany najpospoliciéj pod imieniem księcia podkomorzego, fantastyk i samolub żył tylko dla siebie i dla swoich kochanek, z któremi się przejeżdżał po kraju żonę porzuciwszy. Hodował liczne stada koni i usiłował w swych ogrodach na Solcu aklimatyzować małpy. Wiadomo jaką pamięć zostawił w narodzie drugi jéj syn Stanisław król. Michał prymas nie jest też bez plamy. Jędrzéj kosmopolita który umarł młodo służąc obcéj sprawie, tém najbardziéj w kraju pamiętny, że był ojcem rycerskiego księcia Józefa.



Wyniosła matka Poniatowskich nie była lubioną od powszechności szlacheckiéj. Ponura, cała zajęta swemi ambitnemi widokami, nietowarzyska a szafująca chętnie słowami pogardy i dumnego oburzenia, dostała od jakiegoś dowcipnisia przydomek *gradowéj chmury*, który jéj na zawsze pozostał. Niektórzy nazywali ją mądrą niewiastą, ale nie była to ta mądrość chrześcijańska, przezorna, na trwałych oparta posadach, lecz mądrość z pychy urosła, budująca na ruchomych falach namiętności ludzkich, więc też niezostawiająca nic trwałego po sobie. Jak uczucie nieoświecone pochodnią rozumu ślepe jest, tak rozum nieogrzany miłością łatwo wchodzi na bezdroża. Nie kochała widać prawdziwie Poniatowska, ani kraju ani synów swoich, nie pragnęła bowiem ich rzeczywistego dobra ale przedewszystkiém honorów, rozgłosu, blasku. To téż ta wielkość chwilowa była podobną do bańki mydlanéj. W proch się rozsypały dostatki, znaczenie, a tak niedawno jeszcze licznemi przedstawicielami podtrzymywane imię, dogorywa w Toskanji, wśród potomków którzy już nie umieją po polsku i przybrali nazwisko książąt *di Monte Rotondo.*

Pani kasztelanowa krakowska nie doczekała nawet radości widzenia syna Stanisława na tronie, bo umarła 27 Września 1759 r.

J. Śmigielska.

KAPITAN OKRĘTU SĘP.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS. M. E. BRADDON.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

DROGA DO MARLEY.

—Czy nikt nie przyjechał dzisiejszym dyliżansem wieczornym? pytał kowal z Compton grubego oberżysty *zpod Czarnego Niedźwiedzia*, najpierwszego zajezdnego domu w téj stronie hrabstwa Cumberland.

— Nikt, prócz kapitana Duke.

— Jak to? więc kapitan jeździł do Londynu?

— Siedział tam więcéj niż trzy tygodnie, odparł niechętnie oberżysta którego kwaśny z natury humor nie usposabiał nigdy do dłuższéj rozmowy.

— Ha! pomruknął kowal, spędził trzy tygodnie na grze, na kłótniach, na balach w Chelsea, na wieczorach w Covent-Garden, na wyrzucaniu za okno pieniędzy królewskich, trzy tygodnie....

— Trzy tygodnie w służbie djabła, czegóż tego nie dodajesz jeszcze Dżon'ie Homerton ozwał się głos jakiś po za nim.

— Dobry Boże! wszakże to pan Darrell Markham?

— On sam jak widzisz, odrzekł nowo przybyły, wysoki i smukły młodzieniec w palonych butach i trójgraniastym kapeluszu. Proszę cię Homertonie, mówił daléj, nie wspominaj nikomu w Compton o mojém przybyciu, gdyż zabawię tu zaledwie parę godzin ułatwiając interesa, lecz zdaje mi się że ci przerwałem rozmowę o Jerzym Duke kapitanie królewskiego okrętu *Sęp?*

—Ej nie — chciałem powiedzieć tylko, że gdybym miał tak ładną żonę jak pan Duke i nie mógł być z nią dłużéj nad dwa miesiące w roku, nieprzepędzałbym połowy czasu mego urlopu w Londynie. Twoja krewna Darell'u mogła niewątpliwie lepiéj pójść za mąż.

— I ja tak sądzę Homertonie.

Powyższa rozmowa toczyła się w bramie oberży, kowal trzymał za uzdę swego starego, białego konia zakładając już nogę w strzemię, aby powrócić prędzéj do kuźni położonéj w przeciwnym końcu miasta, gdyż i tak stracił tutaj dość czasu niemogąc się oprzeć chętce pogadania z oberżystą. Darrell Markham oddalił się od obu przyjaciół i spacerując po gościńcu spoglądał na wązką uboczną drożynę wijącą się wśród rozległéj, na mil kilka, płaszczyzny, pokrytéj jałowemi krzewy. Zajazd *pod Czarnym Niedźwiedziem*, stał przy wejściu do miasta, na samym brzegu téj smutnéj równiny.

— Noc bardzo ciemna, mówił sam do siebie, będę miał bardzo nieprzyjemną podróż do Marley.

— Pewno pan tam niepojedziesz dzisiaj, rzekł oberżysta.

—Muszę, gdyż nie mam chwili do stracenia Samuelu Pecker, jakikolwiek czas będzie zanocuję w Marley.

— Jesteś bardzo odważnym panie Darrel, dorzucił kowal z nietajoném uwielbieniem.

— Nic w tem szczególnego, spacer wśród samotnych krzaków Compton nie przeraża mię skoro mam pistolety za pasem, dobrego konia i zdrowe nogi; worek mój wprawdzie pełny lecz potrafię go bronić, nieraz już zdarzyło mi się napotkać złodziei na gościńcu, lecz zawsze dałem im radę, a jak to już wyrzekłem, muszę dziś nocować w Marley, mój poczciwy Dżonie.

— Więc macie ku temu konieczną potrzebę, zapytał jeszcze oberżysta.

— Tak jest panie Pecker, muszę nocować dzisiaj pod *Złotym Lwem* w Marley.

— Panie gospodarzu chciejcie mi wskazać najbliższą drogę do Marley, zapytał w téj chwili jakiś nowo przybyły podróżny. Wszyscy zwrócili oczy na niego i spostrzegli mężczyznę na koniu przyglądającego się im również bacznie. Zajechał on tak cicho przed bramę oberży, że niesły-

szano nawet stąpania kopyt końskich. Żaden z trzech rozmawiających niemógł odgadnąć odkąd znajdował się po za niemi. Człowiek ten oświecony ostatniemi błyski zachodzącego słońca wydał im się bardzo pięknym. Rysy miał niezmiernie regularne, policzki ogorzałe okraszone bladym rumieńcem, oczy ciemne i błyszczące, brwi czarne mocno nakreślone, włosy jasno kasztanowego koloru. Wzrost jego był średni, lecz wszystkie członki rozwinięte silnie; w ogóle był on doskonałym typem męzkiéj piękności, koń o szerokiéj piersi odpowiadał sile jeźdzca.

—Pragnę wiedzieć jaka jest najkrótsza droga do Marley, zagadł powtórnie nieodbierając odpowiedzi na pierwsze zapytanie, od zdumionych niespodziewaném jego zjawieniem ludzi. Oberżysta Samuel Pecker najpierwszy ochłonął z podziwu.

— Jedź drożyną przez krzaki którą ztąd widać, a ona zaprowadzi cię prosto jak strzała do Marley kapitanie, odpowiedział grzecznie. Jeździec skłonił się.

— Dziękuję, dobranoc wam, odrzekł oddalając się szybko we wskazanym kierunku.

— Kapitanie? cóż znaczy ten tytuł, zapytał Darell Markham gdy obcy się oddalił.

— Jest to mąż waszéj krewnéj, kapitan Jerzy Duke.

— Jerzy Duke? lecz on mówił do was jak gdyby był obcym w tych stronach.

— To jego zwyczaj. Czasem bywa poufały, a czasem znów jak gdyby cię nieznał, niewiedzieć jak z nim być wypada, w każdym jednak razie zacny to człowiek.

— Widzę że jest bardzo przystojnym chłopcem i niedziwię się już, że wzbudził miłość w sercu Emilji Markham, rzekł Darrell.

— Ludzie powiadają że Miss Emilja kochała kogo innego za nim go poznała, mówił oberżysta znacząco.

— Ludzie ci zajmują się niepotrzebnie plotkami, odparł poważnie Darrell, ale muszę ci powiedzieć raz jeszcze Samuelu Peckier że powinienem stanąć w wieczór w Marley a noc już zapada, każ mi więc przyprowadzić *Balmerina*.

— Czyż naprawdę jechać chcecie?

— Najniezawodniéj w świecie, każ mi niezwłocznie podać konia, bo noc mię zaskoczy w pół drogi.

— Dobranoc więc, rzekł kowal, miałem ochotę abyście zostali dłużéj w Compton, bo bardzo nam tu smutno od czasu jak umarł stary dziedzic, a młody traci majątek w Londynie i was tutaj niema. Zmieniło się wszystko, minęły bezpowrotnie chwile waszego dzieciństwa, gdy wuj wasz spędzał święta Bożego narodzenia w zamku.... dobre to były czasy.. a dzisiaj...

— Starzejemy się wszyscy Dżonie Homerton, dodał tłumiąc westchnienie Darrell.

— Ciężka to rzecz starać się wzdychać w dwudziestym ósmym roku życia; dobranoc już panie Darrell, darujcie śmiałość z jaką mówię do was i niech was Bóg strzeże! Wyrzekłszy te słowa kowal siadł na swego białego konia i ruszył gościńcem. Za chwilę potem wewnątrz oberży ozwał się krzykliwy głos kobiecy:

— Gdzież on jest? gdzie moje kochane, nierozważne dziecko? niepuszczę go dziś w wieczór, nie chcę aby padł ofiarą rozbójników na gościńcu królewskim! i ukazała się w progu otyła pięćdziesięcioletnia kobieta, zarzucając na szyję Darrell'a grube czerwone ręce w czarnych mitenkach.

— Niepojedziesz dziś panie Darrell wszak prawda? słyszałam jak cię zapraszał na noc Pecker, lecz wiem że on nic niewskóra ze swą krzywą miną; pomiędzy zaprosinami a zaprosinami jest wielka różnica, często tracę cierpliwość z moim mężem.....

Samuel Pecker musiał zawsze znosić podobne przygryzki od swojéj wspaniałéj i pełnéj energji połowicy; jakkolwiek był właścicielem *Czarnego Niedźwiedzia* wyznać jednak musimy czytelnikom naszym, że w istocie daleko mu było do piastowania godności pana domu. *Pod Czarnym Niedźwiedziem* uwijały się służące i służący, lecz sam pan tak był zaćmiony blaskiem swéj wszechwładnéj małżonki, że lepiéjby wyszedł na tem, gdyby nie istniał wcale bo wszędzie go było za nadto. Jeżeli poważył się wydać rozkaz, rozkaz ten uważany był jako polecenie warjata niepodobne do spełnienia, a jeżeli któ-

ry ze służących nie dość obeznany ze zwyczajami domu nieszczęśliwym trafem spełnił to polecenie, wtedy przez dzień cały straszne zamieszanie panowało pod *Czarnym Niedźwiedziem.* Samuel Pecker nie miał, jak to powiadają, szczęścia do niczego, odstręczał swém przyjęciem podróżnych do tego stopnia, że na dziesięciu jeden najwięcéj pozostawał na noc, skoro sam gospodarz kazał podać siana i wody jego koniowi. Jeżeli komu wskazał drogę, podróżny ten spotkał niezawodnie na niéj rozbójników, gdy rozprawiał o pogodzie zaraz zbierała się burza, gdy mówił o rolnictwie, najgorsze potem bywały zbiory. Ludzie powiadali nawet że skoro się chciał uśmiechnąć, krzywił się mimowolnie. Mówiono że przed ożenieniem bywał weselszy i szczęśliwszy, teraz zaś upadał niejako pod ciężarem pomyślności, któréj doznawał zapewne, połączywszy się z tak piękną i wspaniałą osobą, jak mistress Samuelowa Pecker. Każdy obcy przybysz przyglądając się domowemu pożyciu *pod Czarnym Niedźwiedziem* sądziłby niezawodnie że szanowny gospodarz jest tam intruzem, wspólnikiem tylko niejako, głównie panującéj osoby żony, jednakże rzecz się miała zupełnie przeciwnie, albowiem prześwietna rodzina Peckerów, od niepamiętnych czasów miała w swém posiadaniu ten zajazd. Nieboszczyk Samuel Pecker, ojciec dzisiejszego Samuela męża mistress Sary, był silnym i barczystym mężczyzną, bynajmniéj niepodobnym do łagodnego i słabego syna swego. Samuel odziedziczył po ojcu zajazd z wszelkiemi przyległościami lecz niedługo cieszył się władzą, bo w sześć miesięcy po wstąpieniu na tron, czyli raczéj na wielki skórzany fotel po za bufetem *Czarnego Niedźwiedzia,* ożenił się z Sarą, szafarką Ringwood'a Markham'a, a wdową po żeglarzu Tomaszu Masterton. Dawny urząd Sary tłomaczył łatwo poufałość z jaką uścisnęła Darrell'a. Znała go od dzieciństwa i była przekonaną że w całéj Anglji niebyło mu równego pięknością, rozumem, odwagą i szlachetnemi przymiotami.

— Nie pojedziesz panie Darell'u, mówiła, wszak niechciałbyś aby mówiono że cię wyprawiono z pod *Czarnego Niedźwiedzia* na pastwę rozbójnikom? Jenny piecze dla ciebie w téj chwili kapłona, poczęstuję cię nadto winem które Pecker kupił na licytacji po biednym twym wuju.

— Nie mogę zostać mistress Pecker, nie mogę prawdziwie, wiem że Jenny doskonale piecze kapłony i że gościom waszym na niczem niezbywa, lecz jutro muszę jechać do Yorku dyliżansem który wyrusza z Marley, o piątéj godzinie rano. Niepowinienem był nawet na dobrą sprawę zatrzymać się w Compton, lecz niemogłem przenieść aby nie uścisnąć ręki waszéj przypominając sobie dawne czasy i niezapytać się o Nat Holoway'a młynarza o Lucas'a Jordan'a doktora, o rejenta Selgood'a i.. i.. o innych dawnych przyjaciół moich.

— I o mistress Emilję? wszak prawda panie Darell'u? o! wiem ja, że jakkolwiek Londyn jest pięknem i dużém miastem, pełném ładnych kobiet niezapomniałeś Emilji Darrell'u Markham?—Sara była także przed laty niańką Darrell'a zwała go więc nieraz wprost po imieniu.

— Źleś uczynił... źleś uczynił odsuwając się, ciągnęła daléj znacząco, w zeszłym roku podczas uroczystości zaślubia w Compton czas był prześliczny, oblubienica piękna, ale oblubieniec wcale nie dobrze dobrany....

— Jeżeli niechcecie aby jaki waleczny rycerz wypalił mi w łeb po nocy, to niezatrzymujcie mię dłużéj, mistress Pecker. O! szczęśliwe to były czasy gdy was zwałem mistress Sally Masterton w zamku mego wuja!—Wymówiwszy te słowa wzruszonym głosem Darrell oddalił się o kilka kroków i spoglądając w krzaki zanucił jakąś starą angielską piosnkę żałosnéj i łagodnéj nuty. Chłopiec stajenny przyprowadził konia; było to piękne i szlachetne zwierze wyniosłéj postawy, naznaczone przez głowę cienką, białą kresą. Młodzieniec objął głowę konia i spoglądał mu w oczy z uczuciem zaufania z jakiém patrzymy na wiernego przyjaciela, któren jest bardzo rzadkim skarbem na tym Bożym świecie.

— Mój dobry *Balmerino,* mój dzielny *Balmerino,* powtarzał, przebiegniemy dziś jeszcze z jakie dwadzieścia kilka mil, dopomożesz mi spełnić polecenie którego sku-

tki mogą być najgorsze, oddalisz mię od wielu gorzkich wspomnień i smutnych myśli, wszak prawda *Balmerino*, mój poczciwy, stary koniu?

Koń ocierał głowę o ramię pana i zarżał lekko.

— Odpowiadasz mi że tak będzie, rzekł dosiadając go Markham, dobranoc moi starzy przyjaciele, Richard jest jeszcze sam sobą, jak powiada Garrik w trajedji Szekspira, bywajcie zdrowi! — Wymówiwszy te słowa, skinął ręką i zwolna zwrócił się w stronę krzaków, gdy nagle zastąpił mu drogę Samuel Pecker blady i przerażony.

— Panie Darrell'u Markham, rzekł zwolna smutny oberżysta, nie jedź dziś do Marley.... nie jedź tam.... niepytaj mię o przyczynę téj przestrogi bo jéj wytłomaczyć niepotrafię, przeczucie jakieś z którego nieumiem sobie zdać sprawy mówi mi abyś się powstrzymał od téj podróży!

— Jakto przeczucie? cóż to znów znaczy Pecker'ze?

— To znaczy żebyś tam nie jechał.

— Muszę Samuelu, gdyby mi nawet przyszło życiem okupić tę podróż niepowstrzymam się od niéj, niech się więc dzieje wola Boża, jadę. Wyrzekłszy te słowa tak zażył szybko konia że zanim Samuel Pecker opamiętać się zdołał, niewidział już nic przed sobą prócz tumanu białéj kurzawy, który znikł wkrótce w zaroślach.

— Biedny Darrell, dzielny, szlachetny, wspaniałomyślny Darrell, mówiła spoglądając za odjeżdżającym Sara, przez miłość jaką mam dla miss Emilji, pragnęłabym bardzo aby jéj mąż kapitan Duke był choć trochę podobnym do niego.

— A jeżeli on sam tego nie pragnie? cóż począć wtedy mistress Pecker? Człowiek który odpowiedział na monolog Sary był średniego wzrostu w ubiorze oficerów marynarki królewskiéj. Zbliżył się równie niepostrzeżenie do oberży jak jeździec który ją opuścił na godzinę przed tém. Sara Pecker pierwszy raz w życiu zadrżała przerażona swą nieoględnością.

— Przepraszam pana po tysiąc razy kapitanie Duke, wyjąknęła, ja tylko myślałam.....

— Myślałaś głośno mistress Pecker. Pragnęłabyś zatem aby Jerzy Duke kapitan *Sępa*, okrętu jego królewskiéj mości, był równie leniwym, ospałym, słowem do niczego jak Darrell Markham?

— Mów co chcesz kapitanie, bo jesteś mężem miss Emilji którą tak kocham, nie waż się jednakże źle wspominać o Darrell'u bo Sara Pecker niepozwoli na to, dopóki ma język w gębie i paznokcie u palców. Kapitan zaśmiał się głośno i długo, w śmiechu tym jemu samemu właściwym, ukrywała się jakaś melodyjna muzyka, był on tak harmonijnym że nieznano mu równego, znajdowali się jednakże zarówno w Comptonie jak i na pokładzie *Sępa* ludzie, którzy utrzymywali, że kapitan śmiejąc się miał w głosie coś okrutnego i dziwnie niemiłego. Rzecz ta tłomaczyła się jedynie tem, że niewidziano nigdy człowieka wyższéj pozycji któryby niebył spotwarzonym, niepodobna więc aby kapitan Duke tworzył wyjątek w tym względzie.

— Przebaczam ci mistress Pecker, przebaczam chętnie, pozwalam aby mówiono przy mnie najlepiéj o Darrell'u Markham i żal mi go prawdziwie! — Po tych uprzejmych słowach kapitan *Sępa* zaczął się przechadzać wielkiemi krokami przed bramą zajazdu; spotkał tam wkrótce Samuela Pecker który po przestrzeżeniu Darrell'a powrócił inną stroną do oberży. Zaprawdę gdyby kapitan marynarki Jego królewskiéj mości był duchem bez ciała, niewystraszyłby więcéj swą postacią cichego i łagodnego Samuela Pecker. Cofnął się on otworzywszy mocno swe drobne oczy i patrzał przerażony

— Jak to? więc niepojechałeś tam kapitanie?

— Tam? gdzież chciałeś abym jechał?

— Więc nie pojechałeś do Marley?

— Do Marley? a któż ci znów mówił abym miał zamiar tam jechać. — Reszta energji którą Samuel Pecker zachował jeszcze w sercu po swém przerażeniu, zniknęła nagle na te słowa, pomruknął tylko łagodnie i cicho:

— Kto mi o tem mówił? a któżby jeżeli nie wy sami? Kapitan zaśmiał się znów swym dziwnym śmiechem.

— Ja ci to mówiłem? ja Samuelu Pecker, a kiedyż przecie?

—Przed pół godziną zapytując o drogę do Marley.

— Ja zapytywałem o drogę? ależ znam ją przecież równie dobrze jak pomost *Sępa.*

—Wyznam ci też szczerze kapitanie, że byłem mocno zadziwiony twojém zapytaniem, wydało mi się ono nawet bardzo szczególném....

—Jak to? więc utrzymujesz zawsze że się zatrzymywałem przed twą oberżą?

— Przed pół godziną.

— A więc, wiedz Samuelu Pecker że w ogóle nienawidzę konnéj jazdy, dziś zaś szczególniéj zmęczony podróżą z Londynu, nie pomyślałem nawet o niéj, przybywam tu wprost po herbacie z pokoju méj żony, która mówiąc nawiasem, znudziła mię jak zawsze swoją gadaniną.

— A jednakże proboszcz z Bendham utrzymuje że duchy niepokazują się ludziom....

— Samuelu Pecker musisz być dziś pijanym.

— Nie wypiłem nawet szklanki piwa, Sara może to poświadczyć.

—Rzeczywiście nic niepił, wtrąciła mistress Pecker mieszając się do rozmowy, przestrzegam ściśle jego trzeźwości.

— A więc powiedz mi mistress Sally, co się uwija po głowie temu opętanemu warjatowi, rzekł kapitan gniewnie.

—Niewiem tego, odparła pogardliwie Sara, zazwyczaj roi mu się więcéj głupstw w mózgu, aniżeli na raz wszystkim starym kobietom z hrabstwa Cumberland. Widuje zawsze nieboszczyków larwy i całuny na jawie, co też czyni go tak niezdatnym do interesów, że nawet książki rachunkowéj utrzymać nieumie; prawdziwie nieraz przebiera się z nim miara méj cierpliwości!

Mistress Pecker tak często dawała do wody braku cierpliwości z mężem, że nikt nie powątpiewał o prawdzie tego co mówiła w chwili obecnéj.

— Bądź co bądź nieskłamałem, rzekł łagodnie oberżysta, mam na to trzech świadków.

— Trzech świadków? zapytał kapitan.

— Tak jest we trzech widzieliśmy go.... tutaj Samuel zachłysnął się jak gdyby chciał coś przełknąć z trudnością, widzieliśmy go we trzech, powtórzył.

— Ale kogoż wreście?

— Kapitana Duke, który się zatrzymał przed bramą pytając o drogę do Marley.

Kapitan spojrzał uważnie na mówiącego, z wyrazem głębokiego zamyślenia w swych wielkich czarnych oczach, potem zaś zaczął się śmiać głośniéj jeszcze niż pierwéj. Zdziwione i przerażone zarazem oblicze oberżysty tak go zabawiło, że śmiał się przechodząc przez sień i otwierając drzwi izby, w któréj zazwyczaj gromadzili się znakomitsi goście. Wszedłszy tam zasiadł w dużém skórzaném krześle i śmiał się do rozpuku wyciągając nogi u komina, zaledwie nawet wśród tego śmiechu zdołał przywołać Samuela i wydać polecenie aby mu poncz ulubiony przyniósł. Nikogo nie było obecnie w izbie, gdy więc Samuel wyszedł a kapitan sam pozostał, zmienił się nagle wyraz jego twarzy, a jakaś myśl gorzka widocznie wzięła górę nad chwilową wesołością. Przyniesiono poncz, a lubo wypił trzy szklanki i jasny ogień płonął na kominie, drżał jakby we febrze.—Moje widmo! mój cień, przekleństwo zawieszone nad mą głową, wyjęknął boleśnie. W tych kilku wyrazach brzmiało uczucie nienawiści aż do grobu. Jerzy Duke zerwał się potem, wywrócił nogą krzesło i poszedł wielkim krokiem na drugą stronę oberży, gdzie co wieczór schodziły się wszystkie znakomitości miasteczka jako to: doktór, rejent i t. p. osoby. Przez drzwi zamknięte słychać było śmiechy; uchyliwszy je kapitan pozdrowił uprzejmie zgromadzonych zdejmując kapelusz podtrzymywany na plecach przywiązaną do karku wstążeczką. Wszyscy powstali na jego powitanie, bo Jerzy Duke kapitan *Sępa* okrętu jego królewskiéj mości, był wielką figurą w Compton, od czasu zwłaszcza jak pojął w małżeństwo córkę dawnego dziedzica tego miejsca.

— Wybaczcie że wam przeszkadzam panowie, rzekł z pełnym wdzięku uśmiechem, lecz szukam pana Pecker i radbym wiedzieć gdzie go znaleźć można?

— Samuel Pecker siedział w kącie mocno przygnębiony; gdy usłyszał swe nazwisko wstał i powlókł się powoli na śro-

dek izby, blady jak Afrodyta wychodząca z głębi morza.

— Chciałbym wiedzieć którą godzinę wskazuje twój doskonały zegar drewniany Samuelu, rzekł kapitan, gdyż mistress Duke tak jest zajętą czytaniem romansów Ri chardson'a i staraniami około swego małego pieska że nié ma czasu nakręcać ani jednego zegara w domu. Oberżysta wyszedł śpiesznie i powrócił wkrótce przynosząc z pół tuzina różnego rodzaju zegarów i zegarków, wszyscy obecni powyciągali również swe zegarki z kieszeni i kapitan mógł wybierać sobie godzinę do upodobania bo na raz zewsząd się ozwały głosy.

— Trzy kwadranse na ósmą!

— Dwadzieścia minut do ósméj, panie kapitanie! Dziękuję wam bardzo panowie, odparł ze słodkim uśmiechem, lecz nastawię mój zegarek na godzinę oznaczoną przez zegar Peckera, bo zdaje mi się że on lepiéj idzie, aniżeli zegar kościelny i więzienny nawet.

— A jednakże zegar więzienny za nadto czasem bywa akuratny, osobliwie w poniedziałek rano, wszak prawda kapitanie dorzucił szewc, dowcipniś miejscowy.

— O! nie, panie Tomkins, odparł poważnie kapitan nakręcając swój zegarek, bo gdyby wszyscy którzy na to zasługują byli powieszeni, to byłoby więcéj miejsca na świecie dla ludzi uczciwych, no któraż wreście godzina Samuelu?

— Dziesięć minut brak do ósméj kapitanie, lecz co za czas szkaradny, wiatr dmie z całéj siły, a ciemno że choć oko wykól.

— Ósma bez dziesięciu minut to dobrze, rzekł chowając swój zegarek kapitan i zabierając się do wyjścia, ale powiedzże mi jeszcze o któréj godzinie cień mój widziałeś? dodał wstrzymując się w progu i spoglądając znacząco na obecnych, szyderczo na oberżystę.

— Siódma biła na kościelnéj wieży w Compton gdy pojechałeś w krzaki kapitanie, lecz proszę cię niemówmy o tém więcéj, wszak to nikogo nie obchodzi... nikomu nic do tego.... a ja co widziałem to widziałem...

Goście z *pod Czarnego Niedźwiedzia* niezwracali zazwyczaj uwagi na Samuela, tą razą jednakże z podziwem spoglądali kolejno to na niego, to na kapitana, zaciekawieni tem co obaj mówili.

— Nasz poczciwy gospodarz za nadto dziś wiele wypił piwa, rzekł Jerzy Duke, dobranoc panom! dodał jeszcze wychodząc. Skoro powrócił do wielkiéj sali którą opuścił przed chwilą, wyraz jego oblicza znów uległ zmianie, rzucił się na krzesło przed kominem i zatopiwszy wzrok w wybuchających w górę płomieniach, tworzył zeń w wyobraźni niby strome wyżyny, z których coraz to pojedynczy ludzie rzucali się w bezdenną przepaść. Ktoby w téj chwili spojrzał w wielkie czarne oczy kapitana niepoznałby w nim bezwątpienia grzecznego i uśmiechniętego człowieka który niedawno tak mile rozmawiał. Nie długo sam pozostawał, gdyż wszedł wkrótce stolarz Nathaniel Halloway aby się również napić ponczu, późniéj zaś rejent Selgwood i lekarz Jordan przybyli trzymając się pod ręce. Kapitan musiał się rozweselić z przyjaciołmi, do północy pił i rozmawiał z niemi, potem dopiero zerwał się nagle:

— Opuszczam was panowie, wyrzekł, mam jeszcze pół mili drogi przed sobą a w domu młodą i ładną żonę która na mnie czeka.

— Oho! rzekł Nathaniel Holloway, niejesteś tu na pomoście *Sępa*, a więc nie możesz czynić co ci się podoba, zostań i dopij ponczu, a późniéj trochę wytłomaczysz się małemu admirałowi w spódnicy. Mówiąc to podchmielony stolarz przytrzymywał kapitana za złotem haftowany rękaw, lecz Jerzy Duke odepchnął go lekko i wyszedł niebawnie do sieni wraz z doktorem i rejentem.......

Przed kilku minutami jeszcze wszystko było spokojne w oberży *pod Czarnym Niedźwiedziem*, która teraz rozlegała się jękiem i krzykiem. Poczciwa Mistress Pecker płakała i łajała zarazem z całéj siły otaczających, Samuel mąż jéj do niczego nie przydatny, każdemu zawadzający, upadał pod brzemieniem osłupienia swego i ogólnéj pogardy, chłopcy stajenni i służące o czerwonych policzkach stały zadumane w progu, na środku zaś sali, Darrell

Markham, który niedawno pełen sił i zdrowia wyruszył w podróż do Marley, spoczywał zimny i blady w objęciach komissanta miejscowego i parobka z poblizkiéj osady. Sara Pecker klęcząc przy nim zaklinała go napróżno, aby przemówił słowo, lub otworzył oczy.

— Iim Bowleden parobek pana Morris i ja, mówił komissant, spotkaliśmy go obumarłego i skrwawionego na drodze, niewiedzieliśmy z początku czy to zwierze czy człowiek, bo noc była ciemna, pomacawszy dopiero domyśliliśmy się że musiał być raniony, bo krew zsiadła się na sukni.... otóż wziąwszy go na ręce przynieśliśmy tutaj.....

— Co to jest, co się to stało? przerwał Jerzy Duke zbliżając się.

— Zabito na drodze do Marley Darrell'a Markham najbliższego i najukochańszego krewnego Mistress Emilji...

— Nie dalej jak o milę ztąd, dorzucił parobek.

— Darrell'a Markham? krewnego mojéj żony? ale pocóż on tutaj przyjechał? mówiąc to kapitan przyglądał się bacznie nieruchoméj i bladéj twarzy Darrell'a skropionéj octem i zimną wodą.

— Po co tu przyjechał? powtórzyła mistress Pecker łkając, po to aby mi go zabili mego drogiego kochanego biedaka!

Doktór Jordan przysunął się tymczasem do Darrell'a i nożyczkami wiszącemi u boku Sary rozciął rękaw jego sukni, a potem zawoławszy na służącą aby podała miednicę, puścił mu krew lancetem wydobytym z pugilaresu. Krew płynęła nierówno i powoli.

— Czy on już umarł doktorze, czy umarł? pytała Sara z najwyższym niepokojem.

— Tak umarł jak ja w téj chwili, kula pistoletowa zgruchotała mu tylko kość prawéj ręki, a upływ krwi i zimno sprawiło silne omdlenie. Wszystko się skończy na guzach z potłuczenia i małém draśnięciu czaszki przez ostre kamienie drogi, gdy spadł z konia.

— Jak to — nic mu nie będzie więcéj?

Słowa lekarza wróżące nadzieję w chwili ogólnéj rozpaczy o stan chorego, sprawiły że mistress Pecker jakkolwiek nieskłonna do wybuchów czułości, z płaczem przycisnęła do ust jego rękę.

— A więc to jest Darrell Markham, mówił zcicha kapitan, ten powabny Darrell który miał zaślubić swą krewną Emilję, Emilję moją żonę, hum! młodzieniaszek o jasnych włosach i łagodnych rysach!... powiadasz doktorze, że mu nic nie będzie.... że nie umrze?

— Nie, jeżeli tylko Bóg da że gorączka się nieprzyplącze.....

— A jeżeli przeciwnie będzie?

— Wtedy może być najgorzéj, szczególniéj z takiém usposobieniem nerwowém....

— Więc powiadasz że ma nerwy drażliwe?...

— Bardzo drażliwe, skutkiem tego wypadku może dostać gorączki, gorączka łatwo sprowadzi malignę. Trzeba dla niego wielkiéj spokojności mistress Pecker, niepowinien widywać nikogo.... to jest osób których widok czyniłby mu jakoweś wzruszenie.....

— Sama będę go pilnować doktorze, rzekła Sara i radabym widzieć dość odważną istotę, któraby śmiała przerwać mu spoczyuek, chociażby oddychając zbyt głośno, dodała spoglądając gniewnie na męża. Gospodarz z pod Czarnego Niedźwiedzia począł zaraz w téj chwili wstrzymywać oddech, sądząc że na przyszłość potrafi obejść się całkiem bez téj funkcji, tak niezbędnéj przecie w życiu ludzkiém.

— Teraz mistress Saro, rzekł znów doktór, przenieście go niezwłocznie do najlepszego pokoju na górze i połóżcie w wygodném łóżku. Na te słowa komissant, parobek i chłopiec stajenny wzięli na ręce ranionego, wstrzymali się jednakże w pochodzie gdy nagle otworzył oczy i powiódł wzrokiem po przytomnych.

— Ach! co za szczęście, zawołała mistress Pecker, on żyje! kochany Darrell'u przemówże do nas, powiedz że żyjesz!

— Strzelił do mnie, skradł mi pieniądze i list do króla, ranił mi rękę... wyrzekł zwolna młodzieniec.

— Kto? kto strzelił do ciebie kochane dziecię? kto cię zranił? wołała żałośnie Sara.

Markham spojrzał na nią bez żadnego wyrazu, widocznie niemógł sobie jeszcze

zdać sprawy ze swego obecnego położenia, wzrok jego błąkał się po twarzach przytomnych osób, aż w końcu spoczął na Jerzym Duke kapianie Sępa. Oczy jego rozwarły się wtedy ogromnie i przybrały pełen dzikości wyraz.

— To on, ten człowiek! zawołał.

— Co za człowiek panie Darrell?

— Człowiek który mię ranił.

— Przepowiadałem że dostanie maligny, rzekł doktór.

Kapitan Duke spuścił swe wielkie czarne oczy, a gniew srogi rozlał się po piękném jego obliczu.

— Marzysz moje drogie dziecię, mówiła mistress Pecker, z kimże chcesz mówić? gdzie jest ten człowiek?

— Darrell Markham podniósł zwolna zdrową rękę i wskazał nią kapitana *Sępa.*

— To on, rzekł podnosząc się wsparty na ramionach podtrzymujących go ludzi i upadł omdlały tém wysileniem.

— Domyślałem się tego, mówił zcicha kapitan.

— I ja także odgadłem że dostanie maligny, rzekł lekarz, a następnie zgaśnie jak lampa niepodsycana oliwą.

—Trzeba więc wielkiéj spokojności koło niego? pytał jeszcze kapitan gdy niesiono chorego na górę.

— Tak jest, tak jest, inaczéj niemogę ręczyć za jego życie, powtórzył doktór Jordan, znam go od dzieciństwa, najlżejsze wzruszenie sprawi uderzenie na mózg....

— Biedny chłopiec! jest on moim krewnym skoro pojąłem za żonę Emilję, z téj nawet przyczyny nielubiliśmy się choć go po raz pierwszy widzę, to rzecz dziwna.

— Wiele jest dziwnych rzeczy w życiu ludzkiém kapitanie Duke, rzekł poważnie lekarz.

— Prawdę mówisz doktorze, Darrell Markham naprzykład jadąc z Compton do Marley raniony został przez nieznajomych czy też przez nieznajomego, zaprawdę że to bardzo szczególny nadzwyczajny wypadek!

(D. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Jest zdaniem ogólném że przeróbki romansu na dramat lub komedję, prawie nigdy się nieudają, tymczasem francuzka scena tém tylko prawie żyje. *Mr: et Mme de Fernel*, Ulbacha, jednego ze współpracowników dziennika *Temps* niepozyskała uznania u tutejszych krytyków, ja przecie złowiłam w jednéj z owych recenzji bardzo rozsądną uwagę dla kobiet gospodyń i tą się z memi czytelniczkami podzielę. Jest w komedji *Mr: et Mme de Fernel* scena, w któréj bardzo cnotliwa żona i zawołana gospodyni pani de Fernel, pyta się przybyłéj z Paryża przyjaciołki swéj, płochéj i roztrzepanéj wdówki-elegantki: *a czy wiesz ty, jak się pierze bielizna?* Otóż tę przechwałkę gospodarczego rodzaju, to występowanie co chwila ze swemi domowemi kłopoty i trudami, jakkolwiek śmieszne i może niewłaściwe na scenie, uznałam za *prawdziwe* w naturze. Tak, niestety! zdarza się to i u nas. Kochane, zacne, pełne ducha siostry moje, zapamiętałemi bywają kiedy idzie o szczegóły gospodarskie. Czasem o jeden talerz stłuczony, o jedną sztukę bielizny niedopraną jak należy, więcéj bywa piekła i hałasu w domu, niż o potwarz na bliźniego, kłamstwo, lub inną jaką niegodziwość. Oszczędność i gospodarność są przymioty ogromne w kobiecie, lecz stokroć ważniejszym nad te przymiotem pobłażanie i miłość bliźniego, tudzież ów rzadki dar, żeby *chcieć* więc *umieć* dom swój zamienić w przybytek pokoju, zgody i miłego dla wszystkich pożycia. Co się tyczy pani Fernel, ta zaćmiona wdziękami i dowcipem paryżanki, wkrótce odzyskuje w sercu męża swe prawa, ładna zaś wdówka idzie powtórnie za mąż, za jakiegoś literata prowincjonalnego; widzicie że intryga nie nowa i zakończenie także. Największéj wrzawy narobiło przedsta-

wienie *margrabiego de Villemer* sztuki Jerzego Sanda w Odeonie. Jerzy Sand, przez napisanie powiastki religijno-tendencyjnéj, w *Revue de deux Mondes, Mlle de la Quintinie* naraziła sobie stronnictwo tak zwane: klerykalne. Kiedy miano dać pierwsze przedstawienie, *le Marquis de Villemer*, klerykalni chcieli przeszkodzić powodzeniu sztuki. Dowiedzieli się o tém wolnomyślni *(libres penseurs)* i tłumnie poszli na teatr; tak tłumnie że większa ich połowa bez biletów odejść musiała. Krzyki, śpiewy, hałasy koczujących przed drzwiami teatru, dziwną tworzyły muzykę. Przeciwne stronnictwo hałasowało także; policja bardzo była czynną. W tém cesarz z żoną, nadjechał na to widowisko. Zaczęto wołać *vive l'Empereur!* W teatrze sam cesarz dał znak do oklasków co tak ujęło publiczność że znowu na gwałt wrzeszczano niech żyje cesarz! Po skończoném widowisku, stronnicy autorki udali się na ulicę Racine do jéj mieszkania, o 2giéj w nocy, poszli za niemi ich przeciwnicy; pani Sand niepokazała się nikomu, podobno niebyło jéj w domu, ale oba stronnictwa bić się zaczęły a policja na swoją rękę, obu stron nieszczędziła. Rozeszły się nakoniec tłumy; oberwało guza kilku niewinnych. Tymczasem ów *Markiz*, jest sobie sztuką ładnie z powieści p. Sand przerobioną i moralną. Wielka dama, przyjmuje w dom swój lektorkę młodą, piękną i bardzo wykształconą. Dwaj synowie téj damy, pokochali się w lektorce, jeden wesoły i żywy, drugi młodszy, mruk i chorowity. Karolina, *kocha* młodszego lecz tego po sobie niepokazuje, bracia zazdrośni o nią, kłócą się. Lektorka *wié* że w téj demokratycznéj Francji, równości niéma. Że braku rodowitości a może piętna służebnictwa, nie nagrodzą *tu*, ani piękność, ani rozum, ani talenta, tém zaś mniéj *cnota*. Opuszcza dom swéj pani, ale starszy brat widząc iż markiz umiéra z rozpaczy, nakłania matkę aby przyjęła Karolinę za synowę. Tak się dzieje na scenie, na świecie inaczéj. Na świecie, Karolinę by wypędzono z domu, a markiza ożenionoby z jaką ubogą hrabianką, albo kupcówną bogatą... Tutejsza gmina ewangielicka w wielkiém zamieszaniu. Pan Mettalet jeden z członków konsystorza, oddalił od obowiązków pastora Coquerel, bardzo od gminy kochanego dla cnót i wymowy, za to że pana Renan swoim mianuje przyjacielem. Gmina chce żeby pastor pozostał, pastor się oddala. Dzienniki tutejsze na pana Mettalet powstają; redaktor protestanckiego pisma *le Temps*, Nefftzer; pisze w jednym artykule: „rozumiem papieża Piusa IXgo ten jest w swojém prawie, lecz papieża Mettalet, nieznam i nierozumiem. Nasz kościół jest kościołem wolności sumienia, swobodnego badania, *du libre examen;* nieomylności w nim nieuznajemy.“— Balów i wieczorów było niezmiernie skąpo w tym roku muzyka jedna coraz więcéj nabiera tu przewagi; koncerta ludowe, *(concerts populaires)* w cyrku Napoleona, pod kierunkiem pana Pas-de-loup, na których dęte instrumenta wykonywają arcydzieła klassyczne, mają takie powodzenie w Paryżu iż mimo miejsca na kilka tysięcy osób, docisnąć się na nie trudno. Odbywają się co Niedziela o godzinie 2giéj w południe, kończą o 4téj. Kto zna tutejszy sposób obejścia się z publicznością, kto wié, jak z biletem już zapłaconym w ręku, można jeszcze być odsyłanym od Anasza do Kajfasza, to jest od portjerki do portjerki czyli *(ouvreuse des loges)* i po takiéj przechadzce arcyniezabawnéj, można wrócić do domu, odebrawszy w kassie za swój bilet pieniądze, ten dziwić się niebędzie gdy mu powiem, że po godzinnéj do owego cyrku podróży, po nabyciu prawném i formalném na *tak zwane* piersze miejsca biletów, z kwitkiem wróciłyśmy do domu, choć przyjechałyśmy dość wcześnie przed rozpoczęciem koncertu i z wielką trudnością odebrałyśmy pieniądze z kassy. Ale bo też są pierwsze miejsca tańsze i o drugie tyle droższe. Biada temu, kto się złowi na nizkie ceny programu! staje się pastwą portjerki która umieści go, gdzie się jéj żywnie podoba i jak się *jéj* podoba. Tych samych przyjemności, doznaje szczęśliwy paryżanin u drzwi każdego teatru; co to za cierpliwy lud być musi, że tak ochoczo poddaje się męczarniom tego rodzaju.

Muszę wam też donieść o przemianie w kapeluszach. Z czubatych i sterczą-

cych, zamieniają się na nizkie i małe; główka z tyłu ma kształt hułańskiéj czapeczki; są to kapelusze używane przez najwytworniejsze paryzkie wielkiego świata kobiety.

Sławny gmach, długi jak wielka jaka ulica, przeznaczony na nieustającą wystawę przemysłową w Auteuil, ma teraz być przedany przez licytacją i obrócony, nikt jeszcze niewié na jaki użytek. Miljony włożono w te mury, pracowano przy nich we dnie i w nocy przy świetle elektryczném, ale myśl wystawy się nieudała i gmach cały na nic.

J. Janiszewska.

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWÉJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

VII.

Jezioro Anengué — Podróż wodna — Winnice Kauczukowe — Polowanie na jeża — Wielki król Quengueza — Zmiana pory roku — Osojad — Węże — Krokodyle — Damagondai—Czary — Schimbouvenegani— Nowy rodzaj małpy — Polowanie na Krokodyle — Ogata — Mieszkańcy Anengué — Bola Ivoga — Osada moja jest opuszczoną — Zostaję wodzem — Ujęcie nowego Gorilla — Jestem truty arszenikiem — Quengueza posela mi zastaw — Makondai — Sława p. Cott — Goumbi — Bogactwo Kommisów — Gorill upolowany — Próba trucizny — Opowiadania krajowców o gorillach — Nieporządki w rodzinie królewskiéj — Wieś Obindij — Próba obrączki rozgrzanéj w oliwie — Kooloo-Kamba — Dzień pracy w Afryce— Jeszcze o gorillu — Drzewo hebanowe — Zakończenie.

Odpocząwszy trochę w osadzie którą sobie zbudowałem zamyśliłem znów wyruszyć daléj, poleciłem tedy królowi moje gospodarstwo składające się z kur, gołembi, kóz dziesięciu i rzeczy. Zapewniłem że bez ceremonji za powrotem wypalę w łeb temu, który mą własność naruszyć się ośmieli, wywołało to najgorętsze protestacje krajowców przeciw czynom, o które ich posądzałem. Wyruszyłem znów tedy żeglując po mętnych wodach Npoulounay'u wśród niemiłéj woni zgniłéj wegetacji która zalegała dno wody i jéj brzegi. Im więcéj zbliżaliśmy się do jeziora Anengué, tém kraj okoliczny był więcéj nagi i bagnisty a woda zdawała się prawie stojącą. W bagnach do koła kryło się mnóstwo krokodylów, jak miałem sposobność przekonać się o tém. Trapiłem się niezmiernie że woda coraz więcéj zarośnięta utrudniała żeglugę naszą aż raptem tak się jeszcze zwężiło kroyto, że z niesłychanym trudem mogliśmy się posuwać daléj. Zdawało się że już przyjdzie upaść z trudu i zniechęcenia skoro nagle ukazało się w dali wielkie zwierciadło przezroczystéj wody, pokryte tu i owdzie niby bukietami wonnych kwiatów, wysepkami na których jaśniała bujna wegetacja. Przyśpieszyliśmy poruszenia wioseł i w końcu dostaliśmy się do téj oazy. Wszystko zmieniło się do koła. Powietrze było wonne i przejrzyste, a łódka szybko posuwała się po bystrym prądzie. Wylądowaliśmy na jednę z wysepek aby się posilić śniadaniem w opuszczonéj przez krajowców wiosce. Zazwyczaj murzyni lękają się miejsc podobnych, sądząc że w nich krążą duchy dawnych właścicieli, lecz moi ludzie przysłuchując się już czas jakiś naukom których im udzielałem o śmieszności ich przesądów, tak byli wysoko posunięci w swych wyobrażeniach, że żartowali sobie mówiąc, iż zajadłe mustiki, które nam zaledwie tam spocząć pozwoliły, wydaliły prędzéj z tego miejsca dawnych mieszkańców, aniżeli złe duchy. Około drugiéj z południa przybyliśmy do wsi króla Damagondai, który nas przyjął wspaniale bo udarował kozą. Dar ten znaczy tyle w tych stronach, gdzie brak wielki zwierząt domowych, co dar pół tuzina wołów w południowéj Afryce. Cała ludność zbiegła się jak zazwyczaj, aby oglądać białego człowieka. Odpocząwszy trochę zacząłem zwiedzać jezioro i rozsypane po jego powierzchni wyspy. Pokryte były wszystkie winnicami kauczukowemi. W tych winnicach nietkniętych jeszcze są skarby dla handlu, trzebaby tylko nauczyć murzynów jak się obchodzić z niemi, aby nie wyniszczać rośliny. Zwierzyna rzadką jest w tych stronach, krajowcy polują jedynie na jeże, lecz polowanie to jest więcéj utrudzające jak zabawne. Potrzeba gonić jeża wraz z psami,

wtedy dopiero gdy wypadnie do swéj nory odkopują go i zabijają. Czasami też trafia się od razu na norę zwierzęcia. Psy mają w tem instynkt nieomylny, nie szczekają nigdy przy opustoszałém legowisku. Uważałem że obawiając się strasznych jego kolców, nietkną się jeża, dopóki nie nabiorą przekonania że istotnie nie żyje. Dziwną jest rzeczą że wścieklizna jest zupełnie nieznaną chorobą u psów afrykańskich, mimo że murzyni chowają ich mnóstwo po swych osadach. Strzelba moja zepsuła mi się przypadkiem na polowaniu, goniąc za postrzelonym ptakiem chciałem go dobić kolbą, lecz trafiłem tylko na kamień który ją zdruzgotał, rad nie rad musiałem więc wracać do méj osady. Przybył tam pod ten czas do mnie w odwiedziny król Quengueza. Murzyni mówili mi nieraz o téj znakomitéj osobie, zamieszkałéj na wybrzeżu Rembo, rad więc byłem że ją poznać mogę tém bardziéj że wpływ jéj bardzo mógł mi być przydatnym. Król Quengueza przybył w trzech dużych czółnach otoczony świtą z trzydziestu ludzi, oraz trzema swemi ulubionemi żonami. Zdziwił się bardzo zobaczywszy mię, rozpowiadano mu bowiem o mnie jako o wielkim strzelcu, sądził więc że muszę być wysokiego wzrostu, silnéj i barczystéj budowy. Powiedział mi w końcu że muszę mieć wielkie serce, gdy mimo niezbyt wysokiéj i wspaniałéj postawy, dokonywam tylu cudów zręczności. Na szczęście moje mogliśmy się porozumieć bez tłumacza, który za zwyczaj zmienia znaczenie wyrazów, aby zniechęcić cudzoziemca do krajowców, z obawy iżby ten z niemi nie chciał zawięzywać stosunków handlowych. Stary król rozstał się ze mną zachwycony nową znajomością. Przepełniłem jego statki darami z żelaza i miedzi, a nadto jeszcze powierzyłem mu blizko za pięćset złotych towarów, które miał zamienić dla mnie na hebanowe drzewo. Obiecał że dopomoże mi zwiedzić pokolenia nieznane Kommisom, oraz urządzi na cześć moją różne przyjemne wycieczki. W zamian za okazaną mi przyjaźń rozkazałem ludziom moim, aby uczcili odjazd monarchy wystrzałami z fuzji, co go naturalnie uszczęśliwiło, bo nic milszego dla uszu afrykańskich jak hałas jakikolwiek. Postanowiłem podczas pory suchéj zwiedzać okolice. Biagano stało prawie pustką wtedy, bo wszyscy mieszkańcy, kobiety, mężczyzni i dzieci, myśleli o zapasach na zimę czyli porę dżdżystą. Zbierano pistacje i budowano łodzie, prócz tego potrzeba było jeszcze czuwać nad plantacjami. Łąki napełnione były wtedy ptakami budującemi nowe gniazda. Szkaradne marabuty których ogony służą do ozdoby stroju kobiet naszych, zalegały tysiącami ziemię, stada pelikanów kąpały się w wodzie. Nieraz patrzałem jak płynąc zwolna, porywały biedną rybę która nawinęła się przypadkiem, a potém składały ją do skórzanéj swéj torby na zapas w razie głodu. Pewnego poranku wśród piaszczystéj równiny napotkałem świeżo przybyłe niewiem skąd stado poświęconych ibisów egipskich (Ibis religiosa). Kaczki i kury wodne były w takiéj obfitości, że mięso ich jakkolwiek smaczne przejadło mi się zupełnie. Widziałem także szczególnego ptaka zwanego *Sula capensis*, który się tém odznacza, że przypłynąwszy z wodą, nie może przeciw wodzie odpłynąć i pozostać musi w miejscu gdzie go prądy zaniosły. Massy przeróżnego wodnego ptastwa zalegały ławy piaszczyste u brzegu morza, myślałem nieraz jaką roskosz mieliby tutaj moi przyjaciele z New-Jorku, gdyby zapolować mogli. Ptaki przebywające zazwyczaj w głębi lasów znajdowały się także bardzo licznie w téj stronie, jeden z nich szczególniéj zwrócił moją uwagę, był to śliczny osojad, (méropicus bicolor) z pierzem cudnéj barwy która go czyniła podobnym zdaleka do żarzącego węgla latającego w powietrzu. Żywi on się pszczołami, osami i innemi owadami tego rodzaju. Gniazdo ma wydrążone w ziemi zawsze na pochyłości pagórka, wzniesionego przynajmniéj na cztéry stopy. To też na każdém wzgórzu można ich znaleźć kilka, lecz ptaki przychodzą do nich tylko na noc we dnie zaś pustkami stoją. Podczas pory suchéj, oprócz ptaków widać także w wielkiej obfitości węże różnego rodzaju; pewnéj nocy zbudzony zostałem krzykiem kur moich, zajrzałem do kurnika lecz nic nie znalazłem coby usprawiedliwiało ich niepokój, wracając jednakże do łóżka od-

skoczyłem na bok ze wstrętem, ujrzałem bowiem czarnego dużego węża, który się tam wsunął w czasie méj nieobecności, wyszedł zapewnie z kurnika, bo gdy mu strzaskałem głowę wystrzałem widać było że tylko co połknął żywe kurcze. Miał on przynajmniéj dziesięć stóp długości i należał do gatunku którego ukąszenie jest śmiertelném według zdania murzynów. Ucięli mu zaraz głowę z wielką radością a wyrzuciwszy ją, resztę ugotowali i zjedli. Mając już za mało czasu aby przed nadejściem pory dżdżystéj odwiedzić Quengueza, umyśliłem zwiedzić drugą stronę Anengué, aby się przekonać czy podczas lata głębokość wody, będzie tém dostateczną dla żeglugi parowéj. Rzeka Ogobaj którą tą razą płynęliśmy, jest głębsza aniżeli Npoulounay, brzegi jéj obrosłe cudnemi palmami i w ogóle bujną roślinnością. Najpierwszą noc podróży przepędziliśmy na małéj wysepce rzecznéj, pod zasłoną naszych namiotów od ukąszenia mustików. Namioty te złożone z tkanki roślinnéj, są zbyt ciężkie aby niemi osłaniać łóżko w mieszkaniu, lecz wśród nocy przepędzonéj na wolném powietrzu, są nieoszacowaną zasłoną od zimnego wiatru, zarówno jak od zjadliwych owadów. Gdy wpłynęliśmy na jezioro Anengué przedstawiło mi się zupełnie inaczéj z téj strony, jak kilka miesięcy temu gdy go widziałem z przeciwnéj, tamte wody były przezroczyste, te zaś mętne i bagniste; w niektórych miejscach sterczały pasy czarnego błota, wśród którego przechadzało się mnóstwo krokodylów, niepamiętam nic obrzydliwszego nad ten widok. Umyśliłem zabić choć jednę z tych poczwar i w tym celu skierować kazałem łódź, ku miejscu gdzie ich było najwięcéj. Na strzał po którym ogromny krokodyl zapadł się w błoto trafiony w głowę, inne obejrzały się głupowato do koła, swemi szkaradnemi jak u węża oczyma i nie ruszyły z miejsca, zabiliśmy drugiego i ten również zatonął, a murzyni moi nie mieli ochoty narażać się aby go wyciągać. Im daléj posuwaliśmy się w jezioro, tém więcéj znać było zmianę z powodu opadnięcia wody. Wprawdzie daléj woda była czystszą, lecz wszędzie sterczały błotniste czarne wyspy, a krokodyle w niezliczonéj ilości napełniały je, otwierając na słońcu swe obrzydliwe paszcze. Niemiałem ochoty wpaść w nie, przykazałem zatém murzynom aby zachowali wszelką ostrożność. Po kilko-godzinnéj żegludze, przypłynęliśmy do wioski mego starego przyjaciela Damagondai, który pośpieszył na moje spotkanie. Oprócz płaszcza indyjskiego nosił na sobie stary czerwony mundur, o spodniém ubraniu nie było naturalnie mowy, lecz czego niedostawało mu w stroju, starał się wynagrodzić serdecznem przyjęciem. Cała wieś składała się z około sześćdziesięciu chat, mieszkańcy powitali mię z radością, ofiarowałem im na wstępie trochę tytuniu, królowi zaś dałem kilka łokci materji bawełnianéj, co jednakże nie mogło go pocieszyć po araku którego się spodziewał. Zauważałem w pośród wioski nader mocno zabudowaną oborę dla kóz, co wskazywało że musiały być często narażane na napady lampartów. Damagondai ofiarował całą wieś na moje usługi, zaproponował abym wybrał dwie lub trzy najpiękniejsze dziewczyny i pojął je za żony. Odmówiłem grzecznie téj uprzejméj ofiary, co go niezmiernie zdziwiło. Perswadował mi nawet abym się skłonił do jego propozycji, mówiąc że stan bezżennny, musi być rzeczą bardzo niemiłą i nudną. Monarcha ten był pięknéj postawy i dobrze zbudowany. Musiał być odważnym na łowach i w wojnie, lecz w domu, a osobliwie pod noc był nader trwożliwym. Lękał się nadewszystko czarowników i czarów, gdy się zciemniło, jęczał i wyrzekał tak głośno że go chcą zgubić złe duchy że nieraz musiałem go uspakajać. Odpowiadał mi zawsze wtedy: być może że u ludzi białych niéma czarów, lecz u nas nie mniéj przeto one istnieją, najlepszym tego dowodem że wielu ludzi umarło z oczarowania. Niewiedziałem co mu odpowiedzieć na tak przekonywający argument. Zdarzało się czasem że zwoływał w nocy swoje żony i mówił im głosem płaczliwym, jak powinny dobrze go żywić i mieć o nim wszelkie staranie, przez wdzięczność że za nie tak wiele zapłacił ich rodzicom. Biedne kobiety obiecywały z głębokiém uszanowaniem że dopełnią swych obowiązków i król zasypiał w końcu, poczém obudziwszy się, zapewnie

lepiéj niż za zwyczaj miewał zgotowane śniadanie. Te nocy żałośne i frasobliwe niecierpliwiły poddanych Damagondaja, wtedy zazwyczaj aby ich uspokoić, zaczynał tańczyć i zapominał o czarach, ja zaś znużony do najwyższego stopnia zasypiałem spokojnie. Mieszkańcy Anengué niemają prawa prowadzenia handlu z wybrzeżem, aby więc nienaruszyć monopolu który jest rzeczą świętą w Afryce, nie zajmują się niczem. Czasami zabijają słonia i poséłają kły jego Kommisom którzy im za nie bardzo mało płacą. Nie są oni z resztą zręcznemi strzelcami, bo mnóstwo ryb których im dostarcza jezioro, uwalnia ich zupełnie od polowania. Pod czas mego pobytu pomiędzy niemi żyłem jedynie rybami, niektóre z nich bardzo dobre a osobliwie jeden rodzaj zwany *condo.* Krajowcy jadają także mięso krokodylów, na które polują zarzucając ostry hak żelazny. Król Damagondai zaprowadził mię nazujutrz po mojém przybyciu z wizytą dn króla *Shimbourénégani.* Imię tego monarchy czyniło większe wrażenie wielkości aniżeli jego państwo, które było sobie po prostu lichą wioszczyną. Leżała ona jednakże w pobliżu jeziora w pięknéj okolicy obfitującéj wzwierzynę, to téż przy prezentacji, która nastąpiła niebawnie zwyczajem tamecznym, Damagondai powiedział że sądził iż zrobi przyjemność przyjacielowi, przedstawiając mu *swego białego człowieka,* wzamian zaś żądał aby tenże miał wolność polowania w tych stronach. Schimbourénégami, ubrany był w stare suknie z których się zdawał pysznić, na głowie miał wytarty czarny jedwabny kapelusz, godło najwyższéj władzy w Afryce. Przyniesiono wino palmowe aby uczcić moje przybycie, dałem prócz tego kilka garści tytuniu krajowcom i uczta była kompletną. Na noc Damagondai zaprowadził mię do swego starszego syna zwanego Okabi, który mieszkał w téj wiosce dziwny bowiem zwyczaj murzyński niepozwala aby najstarszy syn wodza mieszkał w tém samém miejscu co ojciec. Okabi przyjął mię bardzo mile. Czas był cudowny, byłem więc niezmiernie zadowolniony z méj podróży. Nazajutrz rano król przysłał mi na śniadanie banany i trzcinę cukrową przez młodą murzynkę która oświadczyła że przysłano ją aby została moją żoną. Naturalnie że nie przyjąłem znów proponowanych mi już tylokrotnie zaślubin, co mocno uraziło czarną nimfę. Poszedłem z Okabim na polowanie, ubiliśmy dwóch bawołów, powracając spostrzegłem na jedném drzewie pewien rodzaj szałasu zaplecionego z gałęzi, myślałem że strzelcy urządzają sobie podobne schronienia, lecz towarzysz mój powiedział mi, że one należą do pewnego rodzaju małpy zwanéj *nshiego mbouvé.* Można sobie wyobrazić łatwo, jak byłem ciekawy ujrzeć to nieznane mi zwierzę. Okabi powiedział mi że niełatwo je znaleźć, lecz w miejscu w którém byliśmy było kilka gniazd tego rodzaju, miałem więc nadzieję, że w końcu życzenia moje spełnione zostaną. Gniazda te czyli raczéj szałasy budowane są tak misternie, że przysiądzby można że je ludzka ręka robiła. Jest to rodzaj chatki z dachem okrągławym, któréj ściany z plecionych gałęzi tak mocne, że je rozerwać niełatwo. Zazwyczaj samiec i samica wspólnie budują podobne gniazda, chociaż każde w oddzielném mieszka. Wybierają ku temu najsamotniejsze miejsca w lesie i drzewa o rozłożystych gałęziach. Znoszą najpierw oboje potrzebne materjały, to jest suche gałęzie i wiciokrzewy któremi je wiążą. Potém samiec zabiera się do pracy, a samica tylko podaje mu wszystko co potrzeba. Gniazda samca i samicy lubo założone na oddzie'nych drzewach bywają niezbyt odległe od siebie. Zdaje się że ten gatunek małp nieżyje gromadnie, gdyż spotkaliśmy najwięcéj po kilka podobnych gniazd w pobliżu siebie. Czasami wydarzało się nawet widzieć jedno tylko gniazdo odosobnione od drugich. Okabi mówił mi że takie zamieszkiwały stare małpy, niby pustelniki odsunięte zdala od małpiego świata. Co do obyczajów Nshiego mbouvé, mówiono mi że zazwyczaj przebywają one dopóty tylko w jakiéj okolicy, dopóki im starczy ulubionéj żywności, gdy zaś ta się wyczerpnie, idą daléj i nowe budują gniazda opuszczając stare. Budowa podobnéj nadpowietrznéj chaty zabiera im zwyczajnie ośm do dziesięciu dni. Szliśmy powoli aby niespłoszyć poszukiwanéj małpy, w razie gdybyśmy ją napotkali. Radość

moja była wielką skoro już o zmroku towarzysze wskazali mi w jednym z szałasów małpę uśpioną, trzymającą się mocno drzewa. Przypatrzywszy się wpierw ciekawie biednéj ofierze, dać kazałem ognia. Małpa upadła na ziemię nie jęknąwszy nawet. Powiesiłem ją na noc na drzewie aby zabezpieczoną była od mrówek i dzikich zwierząt, rano zaś dopiero przypatrzyłem się jéj dokładnie. Był to samiec podobny bardzo do chimpansa, lecz różny zupełnie od gorilla. Z powodu zaś że był w rodzaju pierwszego, a głównie różnił się nagą czaszką, nazwałem go *trylodytes calvus.* Niezadługo zabiłem drugą podobną małpę dużo większą i starszą; wypchawszy je obie odesłałem razem do domu.

(*D. c. n.*)

O UBIORACH.

Kapelusze całe aksamitne powoli ustępują miejsca lżejszym, mieszanym. I tak brzeg ronda i karczek bywa przezroczysty biały, pokryty czarną koronką u aksamitnego kapelusza, lub téż u jedwabnego ubranie jest aksamitne. W magazynie pani Cronier przy ulicy Sto Krzyzkiéj, oglądałyśmy nowego kształtu kapelusze zwane szkockiemi (*casquettes écossaises*). Jest to coś w rodzaju batorówek, lecz odmiennego nieco kształtu; kapelusiki te zdały nam się szczególniéj ładne dla dzieci i młodziuchnych panienek, zwłaszcza że cena ich jest przystępną, gdyż z ubraniem z piórek i wstążek, kosztują złp czterdzieści lub mniéj nawet. Do tegoż magazynu nadeszły kapelusze okrągłe z wywiniętém po bokach rondkiem, o różnorodnych nazwach jako to: *Princesse*, *Newmarket*, *Danemark* i t. p. Są one w kolorach zwyczajnéj słomy, hawanna i popielatym, wszystkie zbliżone do siebie fasonem i strojem, który tworzy zazwyczaj opasanie ze wstążki i kitka z piór po nad czołem przypięta. Pani Cronier odebrała znaczny transport piór, ułożonych już w takie kitki stojące wprost do góry, lub rozłożone na dwie strony i przepięte przez środek wstążką lub aksamitem; kosztują one od 5 do dziesięciu złotych. Najwięcéj nam się podobały do kapeluszy popielatych kitki zwane szkockie, z różnokolorowych piór kogucich, przepięte szkockim aksamitem, do hawanna najstósowniejsze piórka i wstążki tegoż koloru, do zwyczajnéj słomy bardzo ładnie wyglądały fijałkowe. Kapelusiki hawanna były nie ze słomy lecz z włosia, ślicznie wyglądają ubrane piórkami i wstążką w tym samym kolorze. Cena ich bardzo umiarkowana gdyż bez ubrania kosztują trzy z ubraniem zaś od 5 do 6 rubli. Sznelkowe siateczki całe z ubraniem w kolorze *bleu mexique* lub hawanna kosztują rsr. 3. Za tęż cenę można znaleźć u p. Cronier ładne czepeczki, kapelusze zwyczajne zamknięte dla starszych osób, kosztują tam po rs. 8. Z tych które oglądałyśmy zwróciły uwagę naszą: fioletowy przystrojony barbką z białéj blondyny pękiem fiołków i słomy, koloru hawanna z barbką czarną koronkową i szafirowemi kwiaty oraz kapelusz jedwabny w kolorze nankinu. Do magazynu pana Włodkowskiego nadeszły już niektóre wiosenne towary, większy zapas spodziewany jest za kilka tygodni, pokazywano nam tymczasem świeżo sprowadzone popeliny w różnych jasnych, dzikich kolorach, prążkowane, kratkowane lub centkowane czarno, sztuczka po rs. 11 i 12 oraz gładkie, fioletowe, szafirowe hawanna i inne. Szerokość tego materjału jest łokieć i pół również jak *poil de chèvre* nowo sprowadzonego. Ten ostatni wyrób dużo droższy bo na złp, 120 i 130 sztuczka, niezmiernie nam się podobał dla swéj lekkości gdyż jest prawie przezroczysty, a przytem tak sztywny i ostry, że nigdy nieulega zmięciu ani kurzu nie chwyta. Kolory *poil de chevre* są podobne jak popeliny, najwięcéj popielate i hawanna w ciemniejszych i jaśniejszych odcieniach. Na tańsze wiosenne suknie, są jeszcze *Mohery* i *Walenciasy* w ciemno popielatym kolorze od czterech do pięciu złp. łokieć. Nowo sprowadzone okrywki są wszystkie w rodzaju paletotów długich i wciętych do stanu nakształt wiejskich sukmanek, lub téż krótkie paletociki dawno już upowszechnione pod nazwą *saut de barque*, pierwsze od 20 do 40 rubli drugie po 10 i 11. Z okrywek właściwie letnich, jest wielki zapas płaszczyków flanelkowych i korcikowych *Talma*, oraz beduińskich od złp. 50 do 10 — 12 — 13 i 36 rubli. Beduinki, czyli właściwie dlugie i szerokie burnusy są w różnych kolorach, będziemy się starali opisać je czytelniczkom naszym tak, aby wrazie potrzeby ułatwić im wybór na pamięć, jeżeli mieszkają zdaleka od Warszawy. Wi-

działyśmy n. p. beduiny flanelkowe w kratę ponsową i czarną, szkocką różnokolorową, fioletową i czarną, popielatą ciemną i jaśniejszą. hawanna i czarną, oraz gładkie w podobny sposób przystrojone. Beduina hawanna z repsu wełnianego miała do koła szlak naśladujący taśmę, haftowany czarnym białym i orzechowym jedwabiem; popielata jasna, szlak fioletowy, naszywany w poprzeczne szczebelki czarną aksamitką. Hawanna jasna, szlak ciemniejszy tegoż koloru w podobne naszyty szczebelki, z których każdy był zakończony u brzegu okrycia guzikiem. Talma jasna popielata, spinała się na rzęd koralowych okrągłych guzików, popielata ciemna, miała oszycie z czarnéj aksamitki i t. p. Wszystkie te okrywki były bez wątpienia w dobrym smaku, przekładamy jednakże zawsze nad nie gładkie czarne lub popielate, bo te dwa kolory pominąwszy już że się na tak łatwo uprzykrzą i opatrzą jak inne, są nad to jeszcze dużo trwalsze i łatwiéj zniosą deszcz lub kurzawę. Kapeluszy wiosennych nie wielki jeszcze zapas; oglądałyśmy u pani Włodkowskiéj następujące: kapelusz koronkowy czarny wystrojony pąsowym aksamitem, krytym czarną koronką, pomiędzy pąsowym aksamitem podpięcia był kwiat aksamitny czarny, główka nie ze zwyczajnym denkiem lecz płaska i skośno ścięta. Kapelusz *poult de soie* z lilla krepą, czarną koronką i białemi kwiatami. Hawanna z czarną koronką na wierzchu i podpięciem *bleu mexique*. Fioletowy ubrany czarnym aksamitem z białém podpięciem i podgarnirowaniem, biały krepowy pokryty czarnym koronkowym tiulem, strojny karmazynowym aksamitem, pokrytym czarną koronką z wrabianą do niéj frendzlą jedwabną czarną. Denka u tych kapeluszy były zwyczajne, lub téż skośno ścięte, z resztą fason ich zwyczajny. Ze słomianych widziałyśmy tylko kilka kapelusików Tudor i Margueritte zrobionych na obstalunek, więcéj późniéj będzie. Z czepeczków podobał nam się szczególniéj dla osób nie młodych, czepeczek z białego koronkowego tiulu, strojny takiemiż barbami i białą wstążką za rs. 6.

O kolorowych spódniczkach tu jeszcze powtarzamy, że są na różne ceny po naszych magazynach, gdzie się prześcigają w konceptach do upiększenia ich, co sprawia, że kobiety chętniéj unoszą suknie, nawet wtedy kiedy błota nié ma i nie zdarza się już tak widzieć zamiatanych ulic kosztownemi materjami.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Połowa rannego bengalowego czepeczka.

„ 2. Ubranie do tegoż; kraje się z tiulu i naszywa lekko przymarszczoną wąziutką koroneczką czarną w zęby, jak oznaczone na rysunku.

„ 3. Denko. Naszycie wąziutką aksamitką.

„ 4. Całość czepeczka z ubraniem. Po nad czołem mieści się siedm kokard ze wstążki, z boku riuszka z tiulu, ułożona, w tak nazwane *choux*.

„ 5. Pugilares. Wszywa się w krosna skórkę wyprawną na żółto, podług formy która jest na rysunku, deseń obwieść trzeba kordonkiem ściegiem atłaskowym, mieszając i dobierając kolory, żółty, karmazynowy i zielony, każden kolor przegradza się białym i czarnym, przy każdym kwadraciku trzeba zmienić i kierunek ściegu tak jak oznacza rysunek. Arabesk wyszywa się wąziuteńką tasiemeczką jedwabną, ciemniejszego od skóry koloru.

„ 6. Boki pugilaresu.

„ 7. Całość pugilaresu w oprawie stalowéj.

„ 8 — 9 — 10 — 11. Kołnierzyki i mankiety atłaskiem.

„ 12 — 13. Wstawki ściegiem atłaskowym.

„ 14. Wstawka ściegiem przeciąganym.

„ 15 — 16 — 17. Szlareczki do koszul.

„ 18. Róg do chustki ściegiem atłaskowym, sznureczkiem, dziurki przekalane.

„ 19 do 27. Cyfry.

„ 28 do 32. Stanik pocztyljoński z końcami szpiczastemi.

„ 33 Aplikacja na tiulu ściegiem gipiurowym z podłożeniem muślinu, deseń na albę lub szlak do obrusa kościelnego.

„ 34 — 35. Czapeczka męzka; aplikacja z pąsowego aksamitu na czarném suknie.

„ 36 — 37. Rogi do chustek.

„ 38 do 46. Cyfry i imiona.

„ 47. Alfabet.

„ 48 do 53. Szlarki.

„ 54 do 57. Bukieciki.



KÓŁKO DOMOWE

Maj 1864

SPIS PRZEDMIOTÓW.

MICHAŁ KSIĄŻE OGIŃSKI, z portretem rysunku *Tegazzo*, przez *Al. Borkowską*.

WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI, z trzema drzeworytami (dokończenie), przez *Wł. Chomętowskiego*.

KAPITAN OKRĘTU SĘP, powieść z angielskiego miss *M. E. Braddon* (ciąg dalszy).

O UBIORACH, objaśnienie tablicy rysunków. Przytém tablica rysunków i rycina mód.

WARUNKI PRENUMERATY.

Z przesyłką pocztową.......	Rocznie...	Złp. 36 gr. —	Rsr. 5	kop. 40.
	Półrocznie.	„ 18 „ —	„ 2	„ 70.
	Kwartalnie.	„ 9 „ —	„ 1	„ 35.
Bez przesyłki............	Rocznie...	Złp. 33 gr. 10	Rsr. 5	kop. —
	Półrocznie.	„ 16 „ 20	„ 2	„ 50.
	Kwartalnie.	„ 8 „ 10	„ 1	„ 25.

Osoby mieszkające w Cesarstwie, a nie odbierające innych pism Warszawskich w kopertach, winny dopłacać rocznie Rsr. 1 na kopertę; tak samo i mieszkańcy Królestwa zapisujący prenumeratę nie na stacjach lecz w Warszawie.

Prenumerować można na stacjach i Urzędach pocztowych, tudzież w Warszawie w Biórze Ekspedycji Gazet, we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych, oraz w Redakcji Kółka, przy ulicy Śto Krzyzkiéj w domu W. Kornbergera pod Nem 1342.

— Kto chce odbierać **Kółko Domowe** w jednéj kopercie z innemi pismami, winien nadsyłać ten adres pod którym koperta *z Bióra Ekspedycji Gazet* wychodzi, inaczéj sam sobie winę przypisze, jeżeli będzie musiał dopłacić kwartalną kopertę 25 kop. sr. zanim zdąży dokładniejszy adres nadesłać. Zmiana imienia chrzestnego już w niepewność wprowadza.

Panu Honoratowi Sad... w Czepielówce. Koperta roczna do naszego pisma kosztuje rs. 1 — z przysłanych zatem przez pana na ten cel rs. dwóch jeden pozostaje u nas do dalszego rozporządzenia.

Panu Janowi Pał.... w Lidzie. Do opakowania i opłaty pocztowéj książek, z pieniędzy przysłanych przez pana brakło gr. 20 które od siebie dodaliśmy i o zwrot przy okazyi prosimy.

Pani Izabelli Klim.... w Lidzie. Do trzech rubli dopłaca się 20 kopiejek na półroczną prenumeratę *Kółka*.

Panu Emerykowi Sk.... z Głażowa. Pismo nasze dopiero od Nowego Roku dla pana zaprenumerowaném zostało na coś pan przysłał 21 złp. gr. 10, nie dziw więc żeś pan nie odebrał Października, Listopada i Grudnia. Za pozostałe od sprawunków pieniądze których jest złp. 7 gr. 5 posyłamy żądany kwartał, lecz dopłacić jeszcze panu wypada 3 złp. gr. 15 a do drugiego półrocza b. r. złp. 1 gr. 10 ponieważ pan nadesłałeś tylko trzy ruble a nie masz koperty. Ogółem należy się nam złp. 4 gr. 25.

Panu Jakubowi G.... ze Śledziów. Ponieważ pan nie masz od 1go Lipca Gazety Warszawskiéj w któréj kopercie wysyłano i Kółko domowe, urząd pocztowy dopomina się u nas o dopłatę na koperty, my zaś wzywamy pana o należne ekspedycyi gazet złp. 3 gr. 10 za półroczną kopertę do naszego pisma.

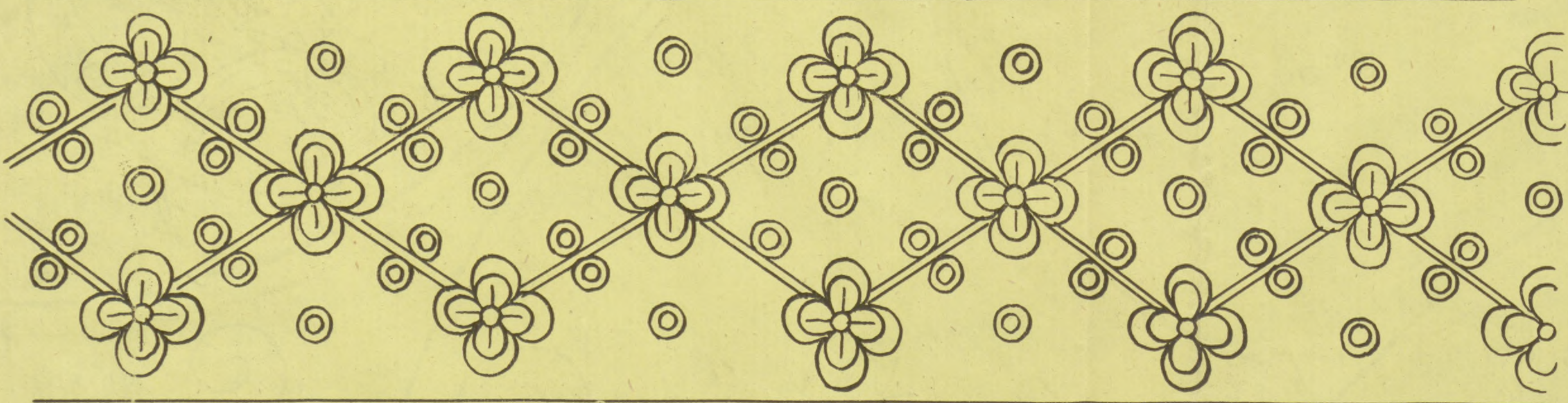
Pani Julji Ch... z Ananiewa. Odebraliśmy złp. 42 gr. 20 na prenumeratę do 1go Lipca 1865 roku, z pozostałych zaś u nas pieniędzy zapłaciliśmy za dwa kwartały od Nowego Roku do 1go Lipca, poprzednio bowiem opłacona była preuumerata tylko do Stycznia 1864 r.

Pani Antoninie By... z Bohusławia. Posyłając powtórnie zeszyt Czerwcowy, donosimy że 4 ruble odebrane przez nas i na opłacenie prenumeraty do Nowego Roku użyte zostały. Wszystkich kwartałów dawnych można nabyć w Redakcji po wiadoméj cenie, wyjąwszy z roku 1862 poszytów za Styczeń, Luty i Marzec, które wyczerpane zostały.

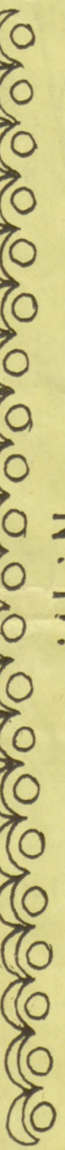
Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — Warszawa dnia 19 (31) Lipca 1864 r.

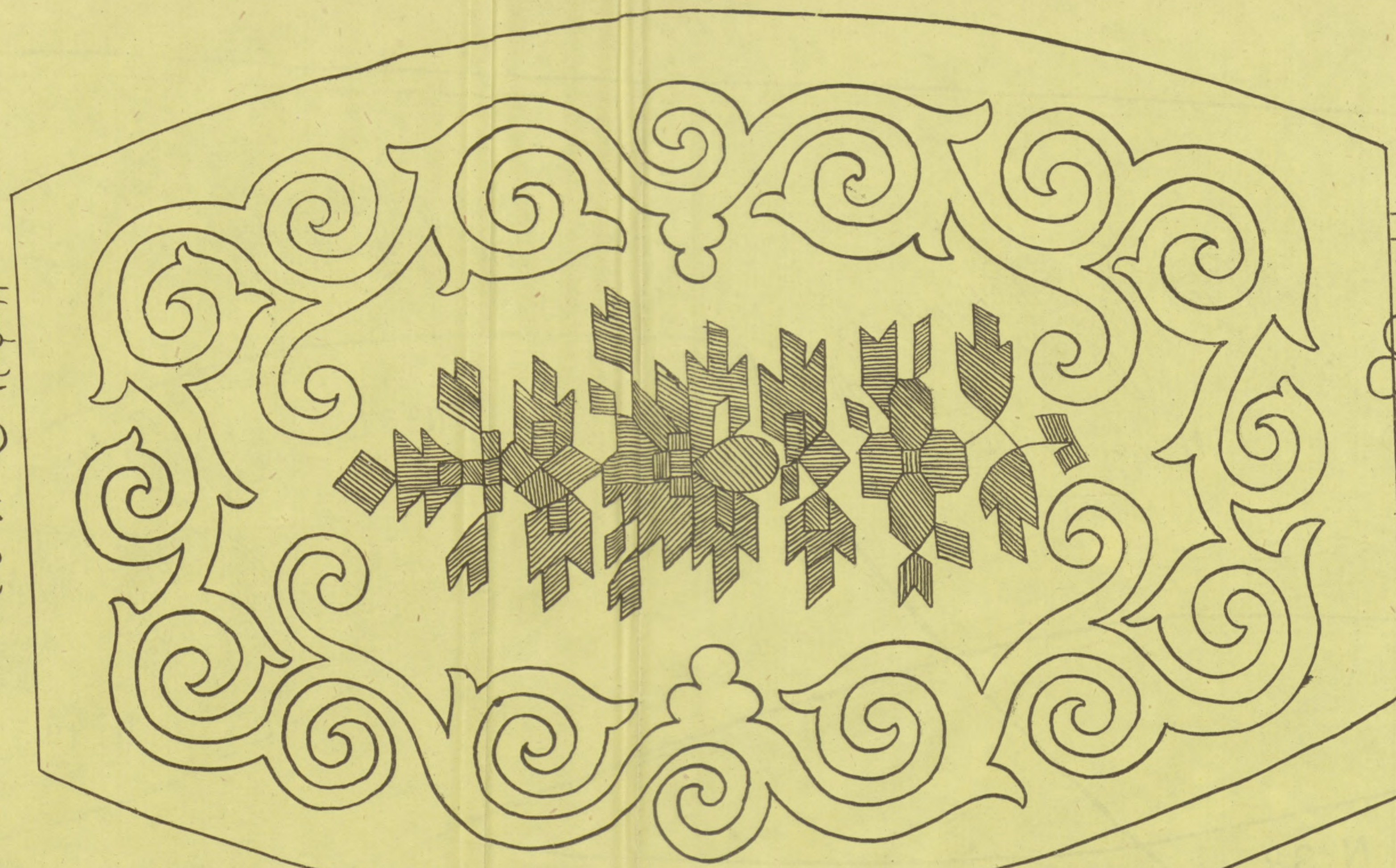
KÓŁKO DOMOWE

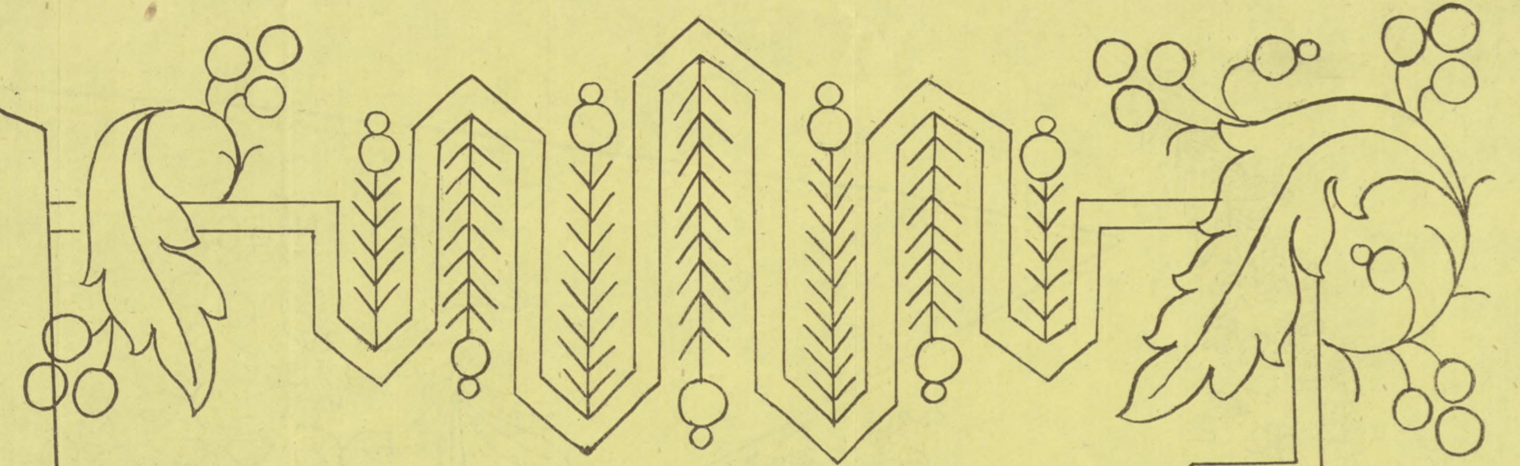
Miesiąc Kwiecień. 1864 r.

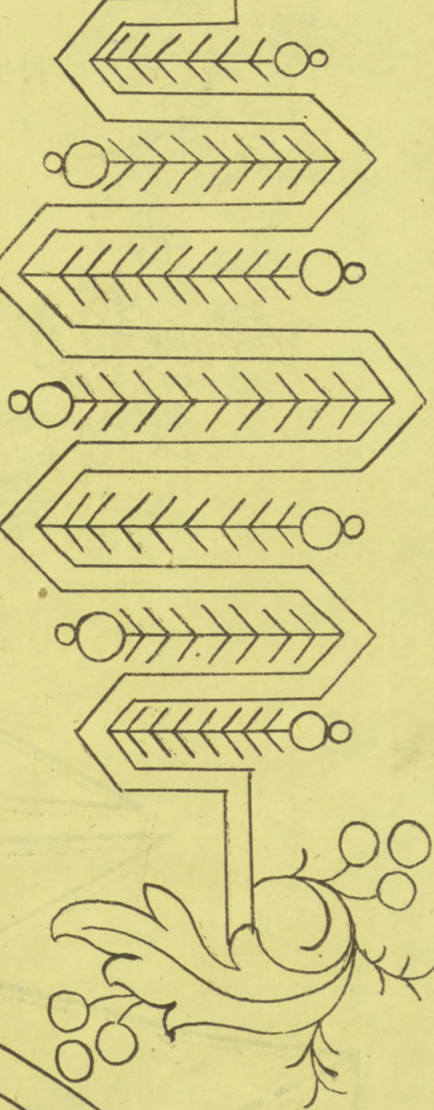


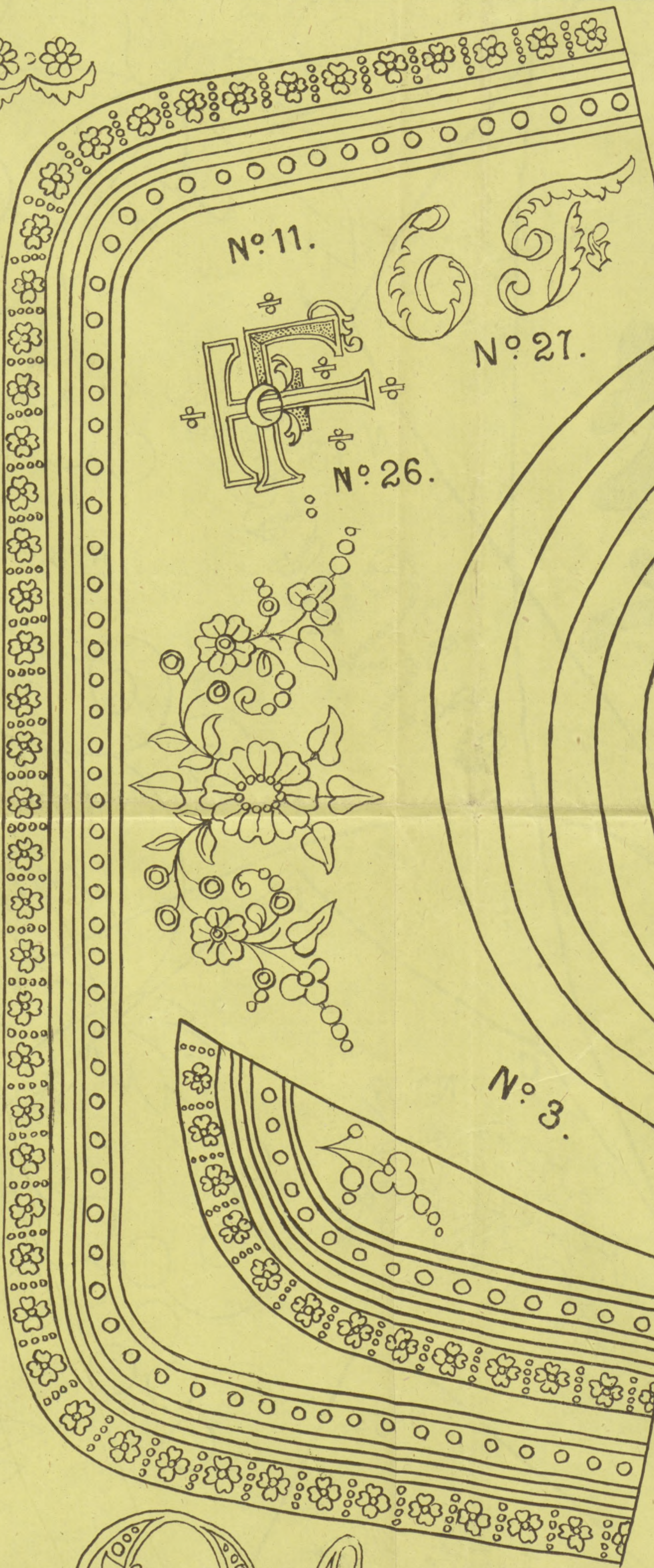


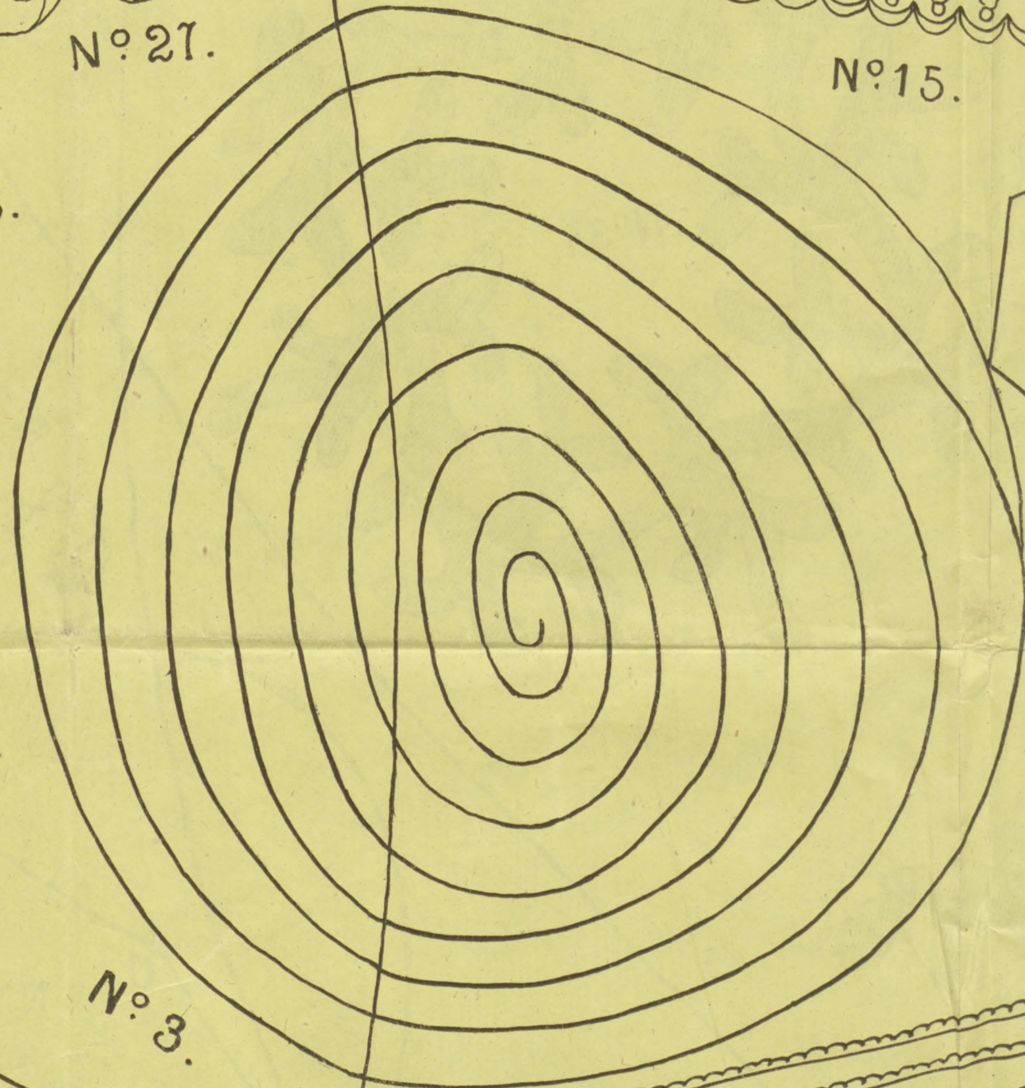




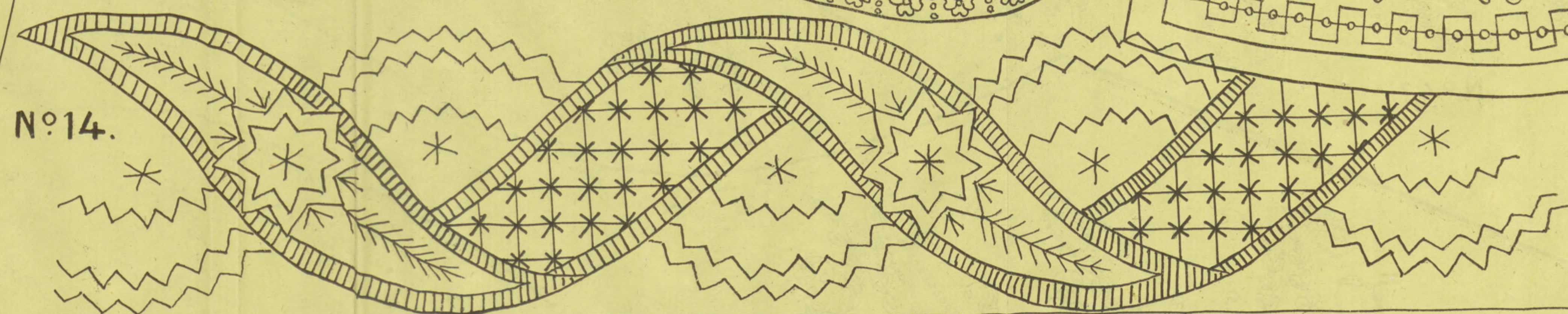


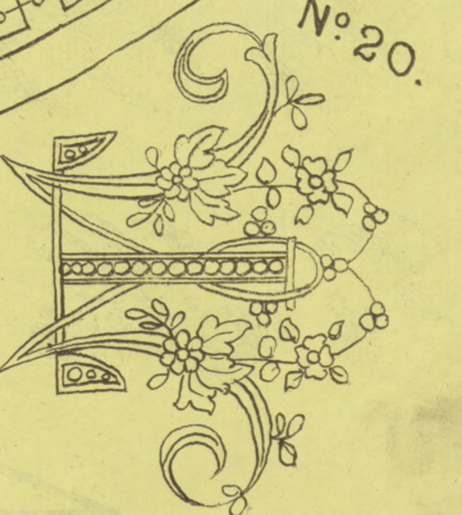


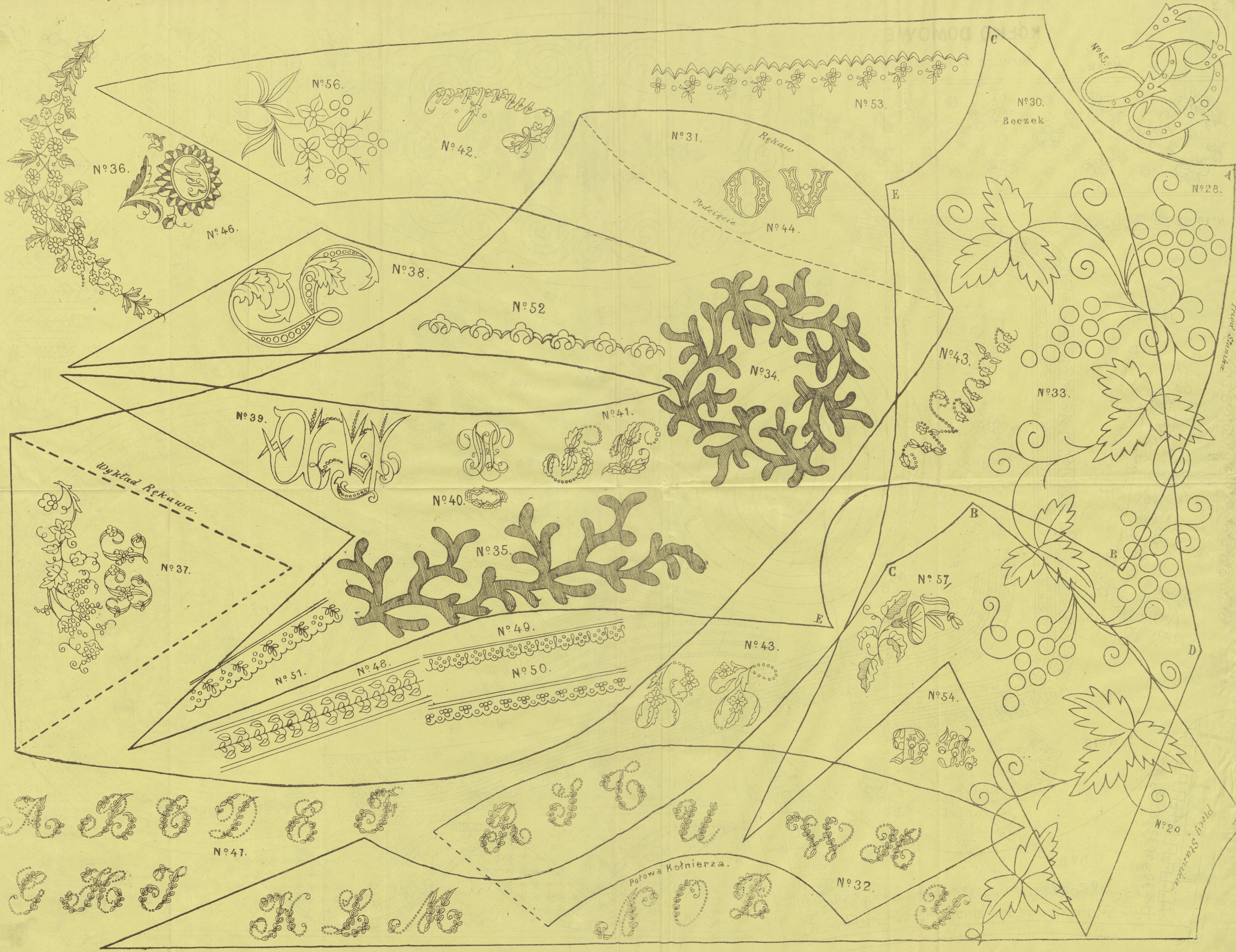




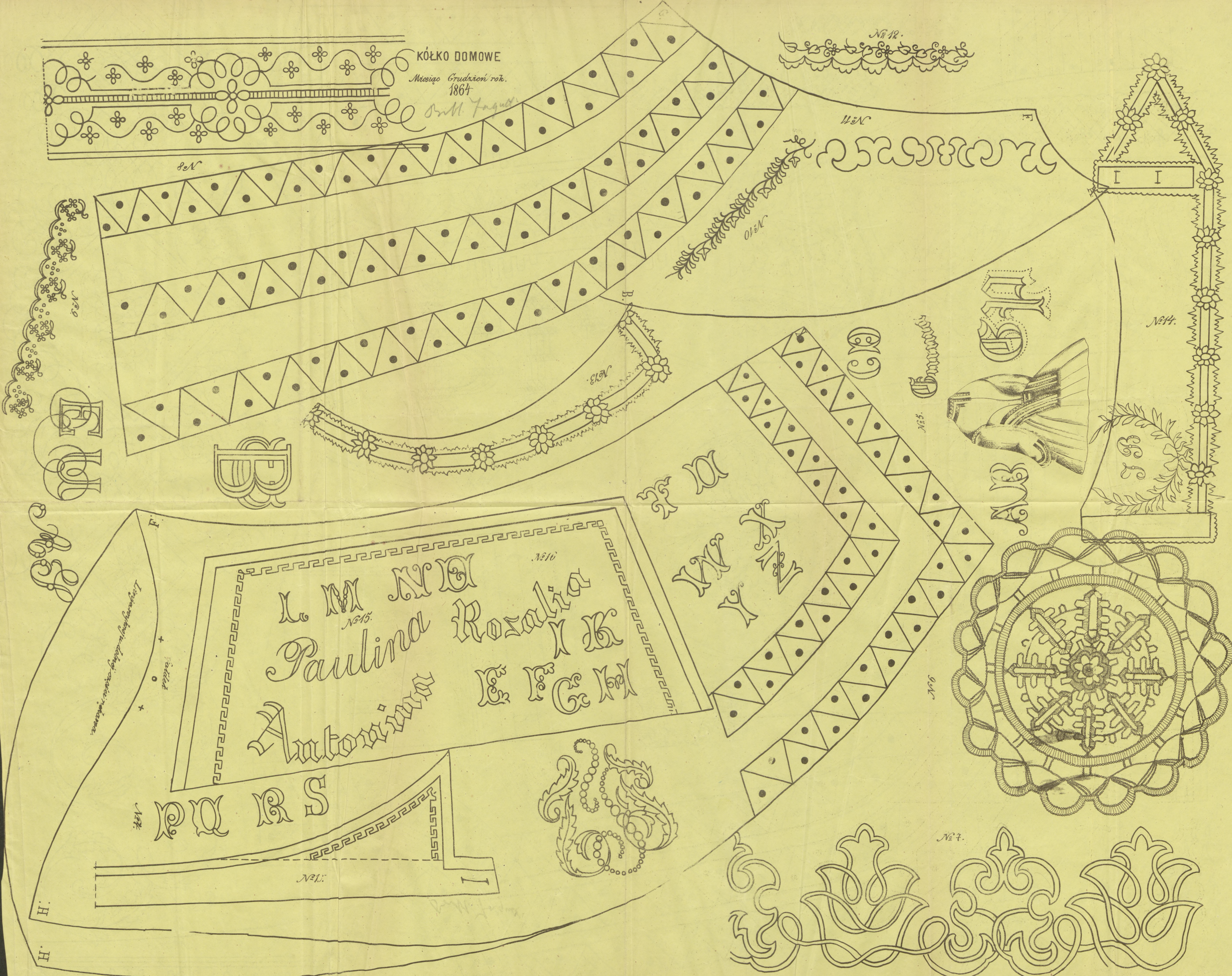
Nº 6. Nº 22. Nº 5. Nº 1. Środek Czepeczka. Nº 21. Nº 23. Nº 4. Nº 8. Nº 24. Nº 25. Nº 2. Środek ubrania Czepeczka. Nº 7. Nº 19. Nº 9. Nº 10.



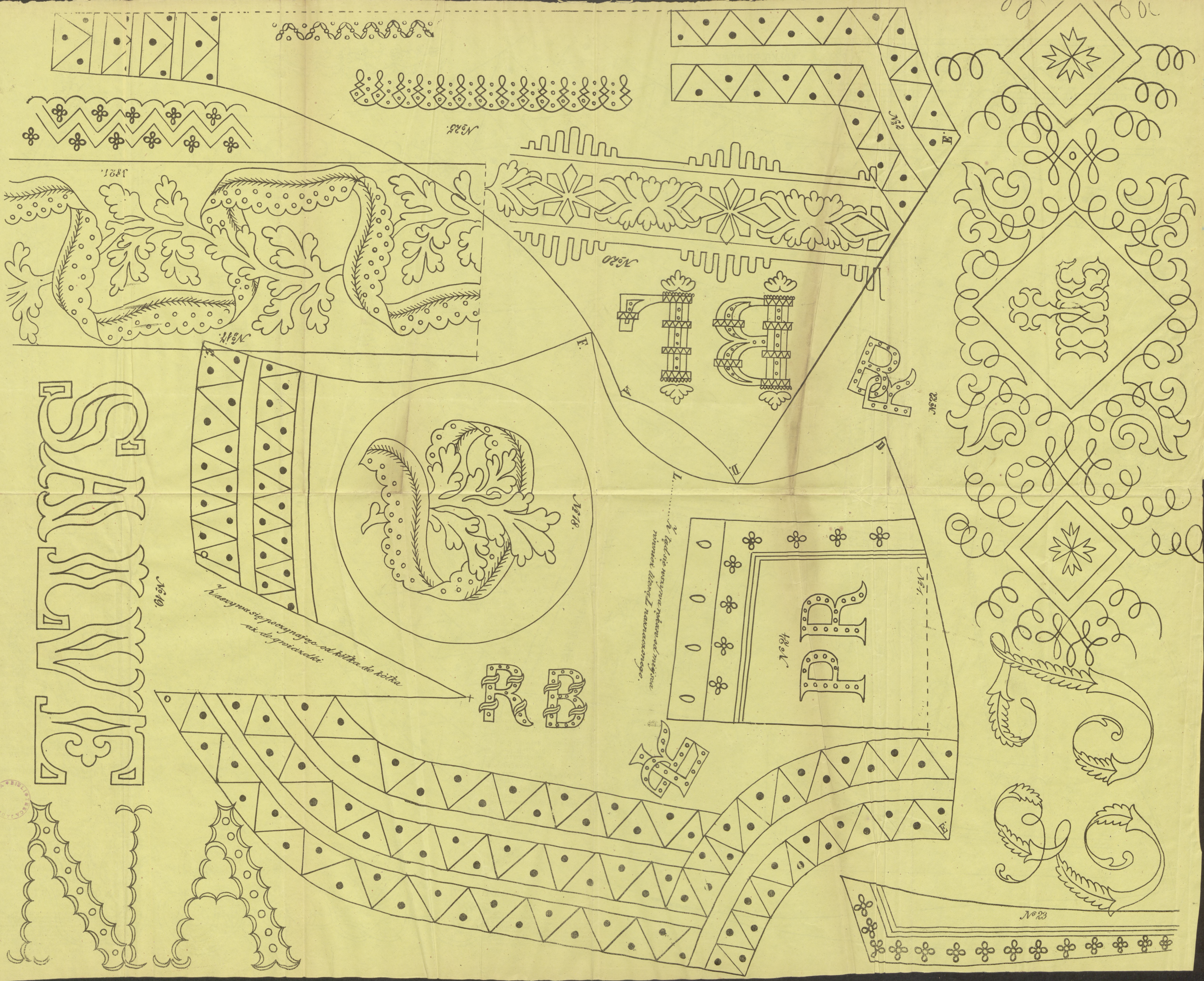




Nº36.
Nº46.
Nº56.
Nº42.
Nº53.
Nº30.
Boczek
Nº45.
Nº31.
Rękaw
Podcięcie
Nº44.
E
A
Nº28.
Nº38.
Nº52.
Nº34.
Nº43.
Nº33.
Nº39.
Nº41.
Nº40.
Wykład Rękawa.
Nº37.
Nº35.
B
B
C
Nº57.
E
Nº49.
Nº51.
Nº48.
Nº50.
Nº43.
Nº54.
D
Nº47.
Połowa Kołnierza.
Nº32.
Nº20
A



KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Grudzień rok.
1864
№ 12.
№ 11
№ 8
№ 10
№ 9
№ 13
№ 5.
№ 14.
№ 16
L M N O
№ 15.
Paulina Rosalia
I K
E F G H
Antonina
W X
Y Z
№ 6
P Q R S
№ 4
№ 1
№ 7.



SALVE
№ 19.
№ 18.
№ 23
RB
PR
Naszywa się pooszywając od kółka do kółka aż do gwiazdki